



El Hajer

KLEJNOTY

POEZJI POLSKIEJ

WYBRANE Z DAWNYCH I NOWOCZESNYCH DZIEŁ

z dodaniem krótkiego życiorysu

I POGŁĄDU NA UTWORY NAJZNAKOMITSZYCH POETÓW


przez

A. F. W.

(ODDZIAŁ II) *1117*

Poczet I.

z portretem Brodzińskiego.



—*—*—

WARSZAWA.

NAKLĄDEM KAROLA BERNSTEINA.

1858.

J. Pelikanowicz - Rychtel



KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

KLEJNOTY

POEZJI POLSKIEJ

BRANE Z DAWNYCH I NOWOCZESNYCH DZIEŁ

z dodaniem krótkiego życiorysu

GŁADU NA UTWORY NAJZNAMOWITSZYCH POETÓW

przez

A. f. W.

(ODDZIAŁ II).

Poczet I.

z portretem Brodzińskiego.



WARSZAWA.
AKADEMIA KAROLA BERNSTEINA.
1858.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Kom
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplar.
w Warszawie dnia 12 (24) Lipca 1858 ro
starszy Cenzor, F. Sob.



93423 / 1-2



W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.

K-82/79/99444

...tracił matkę... Pamięć jej zawsze mu była
...ecną, lubo jednym tylko najsmutniejszym
...rwała się rysem w dzieciennym umyśle: „Jęj
...postać w trumnie aż do ubioru, do katafalku
...którym złożoną była i do pieśni, które
...podzy nad jej ciałem przez dwa dni śpiewali,
...mągam jakby wczorajsze zdarzenie“ — wspo-
...czule w swojej autobiografii Brodziński.
...Nie znał matki ale ją kochał, i to może
...robiło w nim tak dobrze pojęty u Wiesława
...ociąg krwi do nieznanych rodziców, podobnie jak
...tesknota długiego oddalenia, mistrzowskie miej-
...sce błogich wspomnień rodzinnych stron, które
...tak silnie wypowiada Halina. „W późniejszych
...latach,“ mówi dalej Brodziński „służące i kobiety
...wiejskie, wiele mi o dobroci matki opowiadały
...co najwięcej służyć lubiłem i im jedynie wi-
...rieniem to przywiązanie do niej, z którym zdaje
...mi się dotąd że żyję.“ —

Ojciec Brodzińskiego, obywatel w Galicyi,
posiadając rozległe gospodarstwo, wszedł w po-
wotórne związki małżeńskie. Ciężką one jednakże

burzą zawisły nad domowym spokojem... wczesnie odsuwając Kazimierza wraz z resztą rodu od tych czułych starań, od tej troskliwej opieki ojcowskiej, a nawet pozbawiło go niemal dachu rodzicielskiego.

Smutne te obrazy sam Brodziński w swoich wspomnieniach młodości z rozrzewniającą kręśli prostotą i prawdą; nie będziem ich rozwijać przed oczyma czytelnika, bo jak powiedzieliśmy, nie piszemy życiorysu, ale tylko posilkujemy się wypadkami życia, dla wskazania z jakich to materyałów przyszło mu tworzyć swe pieśni — i o ile te cierniste ale zarazem i miłe wspomnienia młodości, wpłynęły na charakter jego utworów poetycznych.

Odepchnięty od domu, Brodziński znalazł przytułek między ludem. „Mało znałszy, mówi on, co to jest być w pokoju rodziców. Izba, chlewnia i chaty wieśniacze to był najczęstszy nasz pobyt.“

W tej więc prostej sferze ludowej spotykał on postacie, które mimowoli głęboko utkwiły

u w sercu, i potem ożywione, uidealizowane, zrebrazowały się w posągowe typy tak dobrze znane nam w jego Wiesławie.

„W ubogiej historii życia mojego, mówi dalej, służy na wspomnienie jedna z najpocztwiejszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży namiętam. Jakżeby rad lepiej ją wynagrodzić. Była to stara kobieta wieśniaczka, można wiedzieć nasza jedyna matka, która za życia atki, wszystkich nas wypiastowała. Ta znosiła i macochy mojej tysiączne łajania, kułaki i przykrzejszą służbę, jedynie z przywiązania do nas, gdy jak mawiała, Matka jej w chorobie posłała aby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko nad swój stan i rozum.“

Nie odgadniemyż w tej Róży pierwowzór Brodźki z Wiesława, co tuli znalezione dzieciaki o swego łona, niezrażając się żadnymi przewinieniami... nie szcędząc żadnych poświęceń, ofiar — w imię tylko miłości, której ognisko w sercu każdej kobiety.

Świat ten wiejski, dziwnymi stroił urokami

młodociane serce Brodzińskiego. „Podczas mglistej jesieni, trawilem całe późne wieczerki przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzackim przy ognisku piekąc kartofle bajki opowiadały, które na ówczas składały dla mnie jedyną rozrywkę i dziś może wdzięki by miały, gdyby je również słyszał opowiadane.“

Czyliż ten rys, wyjęty z ust samego poety, nie wystarcza jeszcze na potwierdzenie słów naszych, iż Brodziński znał lud i lud kochał. Potrzeba nam innych dowodów, to znajdziemy obficie w tych stratach, tych bólach, tym poświęceniu za lud, za kraj, jakie ponosił, Brodziński doznawał służąc następnie żołniersko podczas nieszczęśliwej kampanii rosyjskiej. Biograf Brodzińskiego, znajdzie tam niewyczerpane zapasy obrazów, z których każdy dowiedzie, ile czuł, jak rozumiał życie, — a przytém każe ten obraz, to rys ówczesnego czasu, co nam przygotować grunt, uprawić pole odłogiem, dla następców idących niebawem.

Ta sfera innego świata od tego w któ-

... następnie — świata wieśniaczej prostoty, która żyła niestarte piętno na charakterze osobnym Brodzińskiego i jego poezji. Nie zaparował on tradycyi szlacheckich, nie poznał życia tych postaci, które złożyć się miały na najczudniejszą epopeję narodową (Pan Tadeusz), nie znał tylko wieś i lud, zdobyć się więc mógł tylko na epopeję wsi i ludu... na sielankę, —

Lud nie występował jako faktyczna osoba w dziejach dziesięciowiekowego naszego bytu (z wyjątkiem Ukrainy); był on tylko mgławem tłem tego historycznego obrazu. Życie więc ludowe, nie mogło być trworzywem dla epopei lub powieści dramatycznej.

Ci, którzy dziś chcą pisać dramata ludowe (*) tworzą tylko sielanki, jeżeli zechcemy téj nazwie nadać szersze znaczenie, aniżeli zaprawieni na bukolikach klasycznych nadają. Zamącono spokój sielanki, wprowadzono do niej nowe żywioły (właściwy ludowy mystycyzm), lecz główny typ jój oblicza, został jeden i ten sam.

(*) Janko Cmentarzik Syrokomli i Tomiko Korotyńskiego.

Zmieniono formę, nazwano sielankę obrazkiem, ale nie potrafiąco zmienić natury, bo natura jej wypływała z charakteru naszego ludu, lud dziś wypowiedzieć się daje tylko przez sielankę.

Sielanki Brodzińskiego w porównaniu do tych dzisiejszych obrazków, są jakby utwory greckie do nowoczesnej muzy. W Wiesławie tym najgłówniejszem i najwięcej wykończonem dziełem Brodzińskiego, postacie są dziwnej, niemal posągowej plastyczności. Jeszcze nie znajdziemy w tej sielance pierwiastku, który rozwija się w duszy, krąży niewidzialną siłą po jej tajnikach, a kiedy zamiera, wtedy uderza piorunem w jej glinianą powłokę, krusząc ją na skorupki bez znaczenia i treści. Wiesław kocha, trąca się, lecz prędko swe uczucie wylewa. W Cmentarniku Syrokomli, widzimy już wewnętrzną pracę myślenia... on ma samowiedzę rodzącą się uczuć, a jego cierpienia nie od zewnętrznych przyczyn, ale z głębi ducha swój początek biorą.

Dlatego też sielanka Brodzińskiego płynie jakby strumień igrający i szmerzący, gdy sielanki dzisiejszych poetów, są gwałtownymi pokokami co spadając z gór, rozrucają falę w tyjące kropel i bryzgów.

Głównym charakterem Wiesława, tej najznajomitszej polskiej sielanki, jest spokój i dziwna rzeźwość w uczuciach.

Nieszczęścia wojny, które są źródłem wypadków opowiadanych, brzmią tylko dalekiem echem, jakby przykrém wspomnieniem, co powłóczy czasami chmurką zamyślenia pogodne niebo dni biegnących. Przyroda tak dobrze przez autora poczuła i rozumiana, stanowi tło, na którym dobitniej rysują się postacie, Stanisława, Bronisławy, Wiesława i Haliny. Postacie to jak powiedzieliśmy niemal posągowej plastyczności. Naturalnie są to ideały, ale ideały nie przesadzone, ideały pełne konsekwencji z naturą: konsekwencja leży właśnie w ich prostocie. To nie grube, nieokrzesane ale także i nie wymuskane pasterki poetów francuzkich,

udające prostotę, szczerść uczuć, chociaż w
na pierwszy rzut oka rozpozna, iż właśnie ty
przymiotów głównie im brakuje. U Brodzińskiego
uczucia Wiesława i Haliny nie są przesadzone
bo z jednej strony miarkowane stanem, a z drugiej
poczciwością. Nie pomnę już kto przed parą
laty powiedział, iż Brodziński i wszystkie jego
utwory *przedewszystkiem są religijne*, katolickie
Tego piętna zaprzeczać nie myślím, lecz nie
tak go pojmować należy, jak go chciano przed
stawić, bacząc raczej na własną myśl, niż na
utwory poety. Brodziński czerpał swoje na
tchnienie w charakterze naszego ludu, musi
być więc religijnym. Lecz tak jak naród nasz,
jak *my*, *ideę przelaliśmy w życie*, a nie życie,
w ideę religijną, tak téż i poezye Brodzińskiego,
mają tło, pierwiastek religijny, ale religia nie
jest dla nich ostatecznym celem. Postacie
w Wiesławie nie moralizują ale są moralne, a
modlitwa Haliny jest zarówno koniecznością
religijną jak i wypływającą z charakteru czło-
wieka.

obrazowanie Brodzińskiego pełne kolorytu,
staranności i wykończenia — wszędzie nosi
chę wysokiego nastroju ducha. Nie dorów-
wa on Mickiewiczowi i innym potężnym fila-
m naszej poezyi, lecz z drugiej strony prze-
yższa wielu dzisiejszych, więcej frazeologują-
ch niż malujących. Przypatrzmy się tylko
razkom w sielance Czerniaków, którą dajemy
ytelnikom w całości. Szczególniej jednak
Wiesław obfituje w najpiękniejsze miejsca, które
kby stworzone dla artysty malarza. I czy
weźmiemy wstępny obrazek, czy wędrówkę
Wiesława na jarmark, czy ochotę w karczmie,
czy nakoniec obrząd zaręczyn, wszędzie spo-
ykamy się z prawdą, ożywioną siłą talentu
oetyckiego. Widno poeta żywo czuł pieśń
woją, tworzył ją z najszczerzych serca pro-
nieni.

Przegląda się w niej Brodziński i cała jego
nłodość i urocze jój wspomnienia.

We własnej autobiografii powiada: „Jednem
z najprzyjemniejszych wspomnień mego dzie-

cinnego wieku, są wiejskie wesela, których najchętniej bywałem uczestnikiem.“ Te wspomnienia zapewne służyły mu przy kręśleniu wesela, w tyle razy przez nas wspomnianym Wiesławie.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się gromie,
Słysząc wesołe płąsy i śpiewanie.
Parskając konie biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją druźbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela!
Witajcież do nas, wy z proszowskiej ziemi!
Nie chcecie gardzić dary ubogiem,
Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewczynom,
Wymyślnym tańcom i precudnym strojom;

Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.“

Na to Halina przystępuje młoda,
W całym weselu najpierwsza uroda;
Wstydy się, wstydy, jednak przed nim staje,
Ciasto z koszyka i owoc podaje:
„Obcy wędrowcze! juźci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!“
A przytém uśmiech jakowś uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie,
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od druźbów Wiesław powitany;
Potém starosta, zarządca wesela
W te słowa druźbom porady udziela:
„Juźci piérwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech téż po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewczoję wybierze;
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.“
Wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.

Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w płasach rękę mu podaje,
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina płasą z miną uroczyście,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą,
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi: i t. d.

Brodziński nie jest rozwlekły w swych opisach, co tak często u naszych gawędziarzy ma miejsce. Jednakże obrazy jego nie są tylko prostymi konturami, ale wszędzie stroją się bogato w akcesorya, nakręślone z miękkością i wysokim smakiem, a co najwięcej nas uderza to owa świeżość i trzeźwość a nawet siła męzka, której coraz to mniej spotykamy u następnych autorów.

Dziwniej czystości jest forma, w którą odzie

wał Brodziński swoje utwory. Metaliczny ten język pełen miękkości a przytém i siły, winien był przyrodzonym zdolnościom, jakimi go hojnie obdarzyła natura.

„Najczęściej w młodości swojej, mówi, „śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodia naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz śpiewał.“ Tu się więc odkrywa źródło dokładnego pojęcia, jakie miał o metryczności języka polskiego — pojęcia, którem się tak mistrzowsko posługiwał przy nadawaniu zewnętrznej szaty swoim utworom.

Ta śpiewność językowa — ta miarowość wiersza, są bezwątpienia przyczyną, iż poezye Brodzińskiego silne na słuchacza a zarazem przyjemne i uspakajające czynią wrażenie.

Forma u Brodzińskiego spłótła się z treścią tak blisko, iż tylko ich połączenie czyni utwory naszego poety prawdziwemi klejnotami w pantheonie narodowej pieśni.

*

*

*

Ktokolwiek zwiedzał pałac Biskupów w Krakowie przed zgorzeniem, przypomni sobie zapewne ową smutną freskę Stachowicza, w salonie, którego kolorowe okna wychodziły na mogiłę Kościuszki. Jest to mappa ogromnego kraju, którą piorun rozdziera na trzy części. Freska ta, wymownym jest symbolem ówczesnych wypadków i ówczesnego naszego społeczeństwa. Kilko aktowa historyczna tragedia skończyła się. Przeszłość nasunęła zasłonę, a społeczność zaczęła gotować się do odegrania innych scen następnego aktu. Rozprzęgłe lub zużyte żywioły naszej narodowości, kupić się zaczęły pod nowe sztandary.

Wśród takiego stanu społeczeństwa, Brodziński lekliwie zanucił pierwsze swoje piosnki. Kółko obozowych kolegów towarzyszy broni, serca młode rozgrzane poświęceniem, uderzyły sympatycznie w takt tym pieśniom. W górze napotkał niechęć. Brodziński wykształceniem należał do ówczesnej szkoły klasyków francuzkich, iskra natury — talent, niepozwołyły

mu zostać w ich gronie. Osiński za gładkie tłumaczenia okrzyczany znamienitym poetą, milczeniem pomijał Brodzińskiego. Kto myślał sięgnie w te czasy — a przecież całe pokolenie naszych ojców je pamięta, — przyzna, iż podobna niełaska ze strony Osińskiego, równała się dekretowi skazującemu bez apelacji. Sąd należał do areopagu, nie do ogółu. Znał Brodziński słabość sił swoich, wiedział iż nie podolał téj walce, nieśmiało więc tylko bronił swój rodzinnej sprawy, w szrankach tego wielkiego forum literackiego.

Poezye jego nie obudziły odrazu gorączkowego zapału ogólnego. Większa połowa społeczeństwa, szła za głosem krytyków — inni nie pojmowali Brodzińskiego, — inni zaś wymagali od niego więcej niż dać im powinien — niż dać im był w stanie. Brodziński z walki romantyków zyskał najwięcej, bo lubo główni bojownicy mało się o niego troszczyli, to jednakże ogół zajmujący nowe stanowisko, sam uznał zasługi Brodzińskiego, jako narodowego śpiewaka.

Wkrótce sława jego urosła — a nawet w niektórych kółkach doniosłością przewyższyła znaczenie naszego sielankarza. Między nami nawet liczymy takich, którzy uwiedzeni miłemi wspomnieniami, chcieli równać Brodzińskiego z Mickiewiczem.

To porównanie pokazuje tylko niezrozumienie stanowiska obu poetów.

Był Brodziński jedną nutą, gdy Mickiewicz pełną pieśnią.

Niemógł się duch pierwszego wznieść po za granicę elementów sielankowych; wyżej brakło mu tworzywa, bo nie był geniuszem, co rodzi całe światy jedynie siłą swęj woli, ale tylko talentem, z samowiedzą i w oznaczonym kierunku postępującym na tęg bogatęj niwie poezyi. Skowronkiem polnym był Brodziński dla swoich następców. Zadzwoił on pieśń nowęj wiosny, nadejście słońca co wiodł z sobą inne życie, inny świat.

Adam Wiślicki.

CZERNIAKÓW.



Weselna była pora majowa,
 Na odpust szedłem do Czerniakowa;
 Szły obok matek strojne dziewoje,
 Szły i za niemi młodzieńców roje;
 A ja sam byłem, bo dotąd strzała
 Mojego serca nie dotykała,
 Jeszczem nie nie pił z miłości zdroju,
 Okrom tęsknoty i niepokoju.

Niech więc weseli idą szczęśliwie;
 Ja szedłem miedzą po żytnięj niwie,
 I smutny byłem; bo szedłem prawie
 Jak ów robaczek błędzący w trawie.

Aż dwie niewiasty widzę na łące
 Tą samą ścieżką, co ja idące;
 I nie wiem, co mię w drodze wstrzymało:
 Miłości dziecię być to musiało.

Była to matka z córką przy boku,
 Jedną łagodność jaśniała w oku,
 A druga skromna, urodna, młoda,
 Tak miła, jako w Maju pogoda,
 Za ukłon, ukłon ujrzałem miły,
 I słówko słówkiem wynagrodziły.
 Szedłem, mówiłem; mówiły do mnie,
 Matka łagodnie, a córka skromnie.

Jużeśmy byli w podsieniu boskiem,
 Kramarki lanym częstują woskiem,
 Córka się śmiejąc w wstydu ozdobie,
 Serce i dziecię kupiła sobie;
 Ja zachęcony pojrzeniem miłym,
 Serce i domek sobie kupilem.
 Niechajże razem niewinne dary,
 Z innemi Bogu spłoną ofiary.
 Weszliśmy w kościół: kornie chowana,

Córka przy matce zgięła kolana
 Przed opiekuńcząj Matki obrazem,
 Kupione dary kładziemy razem;
 I tak się Bogiem przejętą zdała,
 Że jej część bóstwa z oczu jaśniała;
 A jam raz tylko westchnął do Boga
 I jakaś rzewność zdjęła mię błoga.

Z kościoła szliśmy między kramarzy,
 Ona mię prostym pierścionkiem darzy;
 Myślałem kładąc pierścionek dany,
 Żem wiecznie lube włożył kajdany;
 Dałem jej inny, a twarz jej miła
 Wnet się jak róża zarumieniła,
 A ja sam nie wiem czym był na świecie:
 Jestże więc srogie miłości dziecię?

Służkom podarki kupiła różne,
 Ubogim w koło dała jałmużnę;
 Ubogi mówił: Państwo łaskawi!
 Niech was oboje Bóg błogosławi.
 Ona mi na to pojrzała w oczy,
 Jam myślał, że to głos jest proroczy.

Szedłem, mówiłem, mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie.

Kupiłem kwiatów, dałem, a ona
Przypięła zaraz kwiaty do łona,
Szliśmy powoli — czas leciał srogi,
Sam nie wiem jakom przybył w ich progi,
Nie wiem też, co mię zostać zmusiło?
Miłości dziecięć pewnie to było.
Aż zaproszeniem ośmielon matki,
Wszedłem do skromnej chędogiej chatki.

Powitała nas czeladka rada,
Matka znużona drogą usiada,
Córka w naczyniu ustawia kwiatki,
Pół przy swém łóżku, a pół przy matki,
Nad łóżkiem córki był obraz brata,
Co w boju młode zakończył lata,
Nad matką wieńce powyszywane,
W święto imienin od córki dane.
Jak żywe srebro córka się kręci;
Piękna w niej dusza i szczere chęci,
Aby wieszczę dano chędogą,

Proszą i mówią: czem służyć mogą?
Nasze się oczy często spotkały,
Ale jakoby wzajem się bały,
Nie mogły długo zostać ku sobie,
Chociaż się w każdej wracały dobie.

Dziesięć już godzin bił zegar srogi,
Czas było lube opuścić progi.
Jakowyż smutek zmienił jój wdzięki
Gdy usta do jój przytknąłem ręki!
Na matkę wdzięcznie oko zwróciła,
Jakby o grzeczne słówko prosiła;
To ja zważając stałem jak niemy,
I rzekła matka: Częściej prosiemy!

Wszedłem; w sercu uczułem zmiany,
Nieznana radość, smutek nieznany:
Miłości dziecięć pewnie to było,
Razem mię truło, razem leczyło.
Już ten cios słodki nie uleczony —
O! Czerniakowa pamiętne dzwony,
Noweście dla mnie głosiły życie,
Wciąż wy mi odtąd w uszach dzwonicie.

II. HALINA.

Prędko zasnęła po drodze,
 Śpi tak długo dobra mama —
 Co mnie się stało niebodze?
 Jakbym nie była ta sama.
 Kłękłam przed Boga obrazem,
 A myśl gdzie indziej bawiła,
 Choć wiem, że m się nigdy razem,
 Tak prawdziwie nie modliła.
 Na posłaniu niepokoję,
 Serce, jakby na gwałt biło,
 Nie zwarło się oko moje,
 Choć na jawie wciąż się śniło.
 Dziwno mi, że wszystko spało;
 Piękne światło księżyc niecił,
 Mnie się koniecznie zdawało
 Że on tylko dwojgu świecił.
 To mi radość twarz powlekła
 To znowu moment zasmucił;
 Nie wiem jak mi noc uciekła,
 Nie wiem jak mi dzień powrócił.

Idę w ogród kwiaty zbieram,
 I gubię wszystkie po drodze,
 Idę na wzgórek, wyzieram,
 I nie wiem za kim wychodzę.
 Poszłam do służki: nie śmiałam,
 Choć wiele pragnęłam mówić,
 Wróciłam, podarek dałam,
 I nic nie mogłam wysłować.
 Tylko w polach Czerniakowa,
 Przy młodzieńcu myśl się bawi,
 Wciąż w uszach żebraka słowa:
 „Niechaj Bóg was błogosławi!“

Kazimierz Brodziński.

OBRAZEK.

I.

Na wzgórzu, za dworem, o słońca zachodzie —

Młodzian i dziewczica błądzili w ogrodzie,
W rozmowie już długie minęły godziny,
Bo czas prędko płynie przy boku dziewczyny. —
Ależ ta rozmowa choć długa i głośna,
Jednak jak się zdaje, nie bardzo miłośna.
Młodzian mówił zwolna, niedbale, pomału,
Głos jego grzmiał smutnie, bez czucia, zapału,
Czyż w téj wielkiéj piersi niéma ideału?

W obliczu dziewczyny widać więcej życia,
Piers rozkołysana, widne serca bicia;
Zda się, że to serce jakiś ciężar ciśnie,
I patrz, patrz, w jéj oku zaraz łezka błysnie.
Ach! bo ta rozmowa! tak długa rozmowa,
A on o miłości nie wyrzekł i słowa —

Ani wspomniał o niéj! — tylko o swych marach,
O jakichś zamysłach — o jakichś ofiarach, —
O nieszczęściach braci, o swojém nieszczęściu,
Cóż ją to obchodzi, gdy nie o zamęściu?!

Ona zna go dobrze, on taki namiętny,
Tak silny w uczuciach — dla niéj obojętny
Jak brat, lub przyjaciel — a ona go przecie
Przekłada nad wszystko, co kocha na świecie.
Ach! z nim droga życia różana, kwiecista,
Bez niego tak smutna — tak przykra, ciernista,
Lub z nim się połączy, lub klasztorna krata
Na wieki od tego oddzieli ją świata. —
Młodzieniec nieznacznie zakończył rozmowę,
Opuszczył na piersi utrudzoną głowę,
W dumach utonął i w myśli nacisku
Łęki swéj spuszczonej nie czuje uścisku;
Drugą ręką chłodził rozpalone czoło. —

Słońce dawno zgasło — pomroka w około —
Księżyc już dawno patrzy na nich z góry,
Vzrok jego złowrogi, milczący, ponury;

I gwiazdy migocą tak smutnie, złowieszczo,
 I wiatr zlekka szumi, i liście szeleszczą,
 I puszczyk, syn nocy, na wieży kościoła
 Przeróżliwym głosem straszne „pójdź! pójdź!”
 woła.

Muzyka tak smutna, tak straszna, tak dzika,
 Aż dreszczem przejmując i trwogą przenika,
 I obudza w duszy czucia nie z tej ziemi;
 A serce tak dręczy — i rozum tak ciemi. —

Ona chcąc rozmowę ocucić na nowo,
 Umyśliła rzucić pierwsze lepsze słowo,
 Więc niedługo myśląc rzecze: „Ależ może
 „W twoich interesach hrabia ci pomoże.“

On wzdrygnął się cały, wyrwał dłoń z jej dłoni,
 Długo milcząc patrzył — gniew lica mu płoni,
 Rozśmiał się szyderczo — wznosił w górę pra-
 wicę —

A oczami straszne sypał błyskawice. —
 I umilkł — i na piersi skrzyżował ramiona,
 I cisnął je gwałtownie do wrzącego łona,

Jakby skryty w niem pożar mógł stłumić, wy-
 gładzić,
 Co gwałtem chciał wybuchnąć — choćby pierś
 rozsadzić.

Długo stał zamysłony — milczący — a potem
 Szybko kroczył w okół — lecz z każdym zawrotem,
 Widne były błyskania spuszczonej źrenicy,
 Oznaki najstraszliwszej serca nawałnicy. —
 Ona przerwała ciszę: — O drogi mój Janie!
 Cierpiż chociaż wiesz dobrze, że sam jesteś
 w stanie

Jednym twoim wyrazem zagoić swe rany;
 O wymów go! zaklinam! Janie mój kochany!
 Wymów ten jeden wyraz! nazwij mnie twą żoną,
 A tą ręką tak długo przez ciebie gardzoną,
 Twa Julja najszczęśliwsza na świecie istota,
 U stóp twoich natychmiast złoży tyle złota,
 Leć trzeba do szczęścia!“ — i dłoń mu ujęła,
 I w obie swe dłonie tak słodko ścisnęła —
 A cała czy z wstydu — czy z czucia — płonęła.
 I w tej chwili — o! dziwna zalotności siło!
 Julja nieładna, była tak wabną, tak miłą,

Tak godną być kochaną. — Tyle wdzięków czucia,
Czyliż w sercu młodziana nie zrodzą współczucia?
On pochmurnie, w milczeniu długo patrzył na nią,
Widać, że słowa Julii głęboko go ranią. —
Wreszcie wyrzekł z goryczą: — „Wieszże czego
pragniesz?

Widzisz ten dąb stary? spróbuj czy go nagniesz!
Tak mój kark w małżeństwo ugiąć równie trudno.
Mnie dziś w całym świecie tak ciasno, tak nudno!
A ty chcesz bym moje bujne lata młode
Zamknął w czepek żony, w twych objęć zagrodę,
I sprzedał jedyne me dobro: swobodę!
O! pierwej porzucę te nieszczęsne strony,
W siermiędze gdzieś cudze uprawiać zagony;
Bo dziś, cóż mnie tu wiąże w tój rodzinnej
stronie?

Może bracia? — tu westchnął i załamał dłonie —
I znów stapał do koła przyspieszonym krokiem,
A serce, zda się, pęknie pod uczuć natłokiem.
„Starszy z głodu nie umrze! — ma kawałek
chleba

Wyborny — najhojniejszy podarunek nieba!“

Po chwili mówił dalej: — „Dzień ów niedaleki,
Co mnie z młodszym rozłączy, ha! może na
wieki!

Więc cóż mi pozostaje — może przyjaciele?
Miałem ich, miałem! prawych, szczerych i tak
wiele!

Dusze wielkie, niezgięte! — gdzie teraz jesteście?!
Bez was tak ciężko! — ha! precz te żale nie-
wieście!

Cóż więcój? może miłość? miłość! urojenie!
Boski wymysł serc wielkich! ich głód! ich cier-
pienie!

Rączką kobiet w zdradliwe przemieniony sieci,
Rozumny je potarga, szalony w nie wleci.“ —
I śmiał się. — O mój bracie! śmiech to przy-
muszony,

Śmiejesz się bo tym jadem już jesteś dręczony;
Znasz Hannę, jój to oczu władza wszechmogąca,
To niebem cię upaja, to w dno piekieł wtrąca. —

A Julja? biedna Julja? ten ogrom boleści.
W wątłym sercu dziewczyny czyliż się pomieści?

O nie! i ten żal długo pod sercem tajony
 Wybuchnął, a z nim okrzyk krótki, przytłumiony,
 I łzy! łzy! ta krew duszy mocno skaleczonój.—
 Lecz żadne jój cierpienia nie zdradzały słowa—
 I znów nastąpiła cisza posepna, grobowa —
 Czasem tylko zaszumi wiatr w pustej ulicy,
 Czasem tylko zakrzyczy puszczyk na wieżycy,
 Czasem tylko ozwie się cichy płacz kobięcy. —

Nagle młodzian się zbudził — zatrzymał się
 przed nią,

A lica wydawały troskę niepowszednią. —
 „Czy ty znasz serce moje? to przepaść bezdenna!
 Nie zapełni jój miłość najbardziej płomienna;
 Wlęj w nią wszystkie — a — wszystkie rozkosze
 tej ziemi,

Pochłonie je jak kroplę — i tylko nad niemi
 Jak fala nad zdobyczą wzniesie się: pragnienie!
 Ta furja z miljonem gardeł — potępienie!!

To me serce! raj taki dałbym ci w zamęściu,
 O! dość mi, nazbyt dosyć, na własnem nie-
 szczęściu,

Przyjaźń moję odrzucasz — a z każdym wi-
 dzeniem

Widzę cię zapłakaną, a te łzy kamieniem
 Spadają mi na serce — wszędzie gdzie się
 zwrócę,

Albo mnie wszystko smuci, lub ja wszystkich
 smucę.

To już nad moje siły te łzy i rozpaczę,
 Przyrzec mi, że ich więcej nigdy nie zobaczę,
 Że nigdy o zamęściu nie wspomnisz i słowa —
 Albo żegnam cię Juljo na wieki, bądź zdrowa!“
 Wziął jój rękę — i czeka — i wzrokiem ją bada,
 Ale ona mu tylko łzami odpowiada.
 Stał chwilę — raz ostatni ścisnął dłoń dziewczicy —
 Opuścił — i znikł wkrótce śród ciemnej ulicy,
 Patrz, tam na gościńcu ten obłoczek mały,
 To wózeczek Jana, pędzi lotem strzały,
 Jak wiatr go unosi konik srebrnogrzywy,
 To przyjaciel Jana, to siwek pocziwy; —
 To raz się wrodzonej poddaje swawoli
 I pędzi — to znowu snuje się powoli —
 Widać że dłoń Jana puściła mu wodze,

I że myśli Jana w innéj błędzą drodze.
 To prawda! — on w wózku rozparł się szeroko,
 Głowę w tył opuścił i marzył głęboko. —
 A lica nie widać — bo je naksztalt wianka
 Zakryła zawojem niebieskim kochanka —
 Jedyna prawdziwa, — fajka galicijanka. —
 Ale widać z dymów ciągnionych z cybucha,
 Że serce młodzieńca płomieniami bucha;
 Bo jak łačno, patrząc w wyraziste lice
 Zgadnąć można skryte serca tajemnice;
 Tak i z dymu fajki znawca bardzo snadnie
 Tego, co ją pali, głab' serca odgadnie.
 Bo gdy dymek zlekka, jak obłoczne wstęgi
 Snuje się powoli, toczy małe kręgi,
 Cieniutkim wężykiem koło ust się wije,
 Widać, że i jego serce zwolna bije,
 Że pałacy duszą w tłumie marzeń tonie
 I że żadna burza nie grzmi w jego łonie;
 Lecz kiedy dym bucha długimi słupami,
 I głowę, jak falą otoczy chmurami,
 W pałacego duszy wrą uczuć bałwany,
 Bliskim jest rozpaczy, lub gniewem miotany.

Prawdę-ś rzekł Gustawie! o jeszcze nie biada!
 Gdy fajko-palenia możność się posiada:
 Z pełną fajką w ręku, człowiek śmiało może
 Wędrować przez życia cierniste bezdroże,
 Pogardzać podłością, urągać złym losom,
 Śmiało oko w oko poglądać niebiosom.
 Och! niejedno życie tak z szczęścia odarte,
 Że jednego nawet zaciągu (*) nie warte! —

Aż wózek przed ganeczek domku się zatoczył,
 Tutaj siwek się wstrzymał — i młodzian ze-
 skoczył,
 Spojrzał na swe mieszkanie. Nad domkiem
 wzniesiony
 Błyszczał księżyc w całym swym blasku roz-
 toczony;
 Więc i domek świecił się jaśniej niżli we dnie,
 I oblicze téż domku było niepowszednie.
 Promieniami księżycy oświecony cały,
 Milczący jak zaklęty — a tak trupio biały!
 I okna tak straszliwe rzuciły spojrzenie;

(*) Osobny rodzaj fajko-palenia.

Do koła pusto — głucho — grobowe milczenie.
 Siwku! cóż ci się stało? drogi nie pamiętasz,
 Zamiast do domu, pana zawiozłeś na smętarz.
 O! siwek się nie zmylił! to mieszkanie Jana,
 Ale razem i smętarz, bo tu pogrzebana
 Jego dawna wesołość, szczęśliwość, uśmiechy,
 Marzenia i nadzieje, roskosze, uciechy,
 Wszystkie skarby lat młodych. — ach powiedz
 mi Janie

Coś tu pogrzebł, czy jeszcze kiedy zmartwych-
 wstanie? —

A przecież nie tak dawno ten smętarz był niebem,

Tu z bratem wspólną pracą otrzymanym chle-
 bem —

Żyli cicho, szczęśliwie — tu z nim gospodarzył,
 Tutaj z nim się weselił i o szczęściu marzył.
 A dziś!... on westchnął, objął nagle szyję
 I głowę na nią złożył — — a serce tak bije!
 Ach! bo to serce kamień tęsknoty ugniata!
 Choć tyle odebrało pocisków od świata,
 Tak się rwało gwałtownie do braci, do ludzi,

Jak serce dzwonu, kiedy dzwonnik je rozbudzi,
 A w którą-kolwiek stronę uderzy miłośnie,
 Odskoczy — i tak jęknie okropnie — żałośnie!

O wy! których cierpienie drugich rozwesela!
 Śmiećcie się! — bo on w koniu — ścisnął
 przyjaciela!

Wy nie wiecie! gdy serce uczuciem wezbierze,
 Chce kochać albo nie bić — kochać choćby
 zwierzę,

• Byle w niém, choć w iskierce uczucie pałało,
 Byle nas choć w najmniejszej części roz-
 miało,

Byle się przed niém można naskarżyć dowoli,
 Zwierzę nie zdradzi — skończmy — i mnie
 serce boli! (*)

Karol Baliński.

(*) Dalsze części w następnych poczetach.

MARATON.

I.

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
 Gnuśny mieszkaniec snem roz-
 koszy drzymie;

I osmalone nim przetań powieki,
 Już go objęły złote ognia rzeki,
 Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,
 I nóż ocierał, co się w nim obroczył...
 Ha! Sardes gore! lament się rozrasta.
 Ha! Sardes gore!...

Z jednej strony miasta

Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
 Jęk konających przy uchu mu dzwoni.
 I leciał, nocy osłoniony mrokiem;
 Czasem za siebie rzucił trwożnym okiem,

A wiatr przez góry żarem za nim dmuchał,
 I wrzask niósł z sobą — on stanął i słuchał. —
 Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
 I starą matkę napawa krwią syna,
 I chatę niszczy ogniem i żelazem?
 — Ha! niema czasu! Z satrapy rozkazem
 Pędź dalej gończe! Jeszcze drogi wiele!
 Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele. —
 Zerwał się goniec znękany boleścią,
 Ruszył przez stopy z nakazaną wieścią,
 I biegł tak skoro aż do wschodu słońca. —
 A gdy na czatach zszedł innego gońca,
 „Ha! Sardes gore! do Suzy! do Suzy!“
 Krzyknął i wrócił, — a tamten przez gruzy
 Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —
 I znikł przed słońcem, jak nocne straszdyło.

II.

Suza wiosenna królewska stolica,
 Jako wybrana młoda miłośnica,
 Rozpieszcza pana, — o bo jój kochany,
 Zateśkni w lecie do swój Ekbatany,

A ztamtąd w zimie mknie do Babilonu;
 A gdy się skłoni do wiecznego skonu,
 W Persepolisu skalach grób wyrąbie
 I na wiek wieków usnie w katakombie. —
 W Suzie, na dworze, Król Daryusz ucztuje,
 Sto cudnych dziewic jemu służy,
 Stu niewolników na klęczkach się wije.
 On inną wodę przy stole nie pije,
 Tylko z Choaspu dalekiej krynicy,
 A chleb je tylko z Eolskiej pszenicy,
 A wino jego, to aż z Chalibamu,
 Sól z puszczy Afryki, ze świętego kramu
Zeusa Ammona. Bo każda kraina
 Pod jego ręką żelazną się zgina,
 Co ma najlepsze, z drugimi pospołu
 W pokorze znosi do pańskiego stołu!

A gdy tak Daryusz rozleż się za stołem,
 Przybieżał goniec, i padł przed nim czołem,
 I woła: „Panie! Sardes, Sardes płonie!
 Sardes, to klejnot w Twój złoty koronie,
 A oto rokosz podnieśli Jończycy,

Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy
 I palą miasto!“

A drugi nadbieży

I woła: „Panie! Sardes w gruzach leży!
 Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
 Winem napełnia święcone naczynie,
 I Tobie Królu przy uczcie urąga.“

Król, wściekły gniewem, wielki łuk naciąga,
 I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę,
 Z prośbą do Bogów, aby tę zakałę
 Krwią obmyć dali. I jednego sługę
 Odstawił, aby każda rwącą strugę
 Wrzawych uczt jego, hamował wykrzykiem:
 „Pomnij się Panie mścić nad Ateńczykiem!“
 A potem Magów rozkazał przywołać
 I pyta: „Grekom godzieniem poddać?
 Naród to wielki, gdy taki zuchwały.“ —
 A oni rzeką: „Królu, kraj ich mały,
 I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa,
 Łatwo ich w jarzmo zakować poddaństwa.
 To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma

Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
 A gdybyś kazał ostremi pazury,
 Rozerwać stare Babilonu mury,
 To mógłbyś, Panie, żwirem i kamieniem,
 Zasypać kraj ten z całym pokoleniem.“
 Magowie prawdę mówili ci królu!
 Naród to mały, lecz jak pszczoły w ulu,
 Każdy z osobna o swym domie radzi,
 A gdzie potrzeba, wszystko się gromadzi.
 O! kraj to mały — tyle co zatrzyma.
 Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
 O kraj to mały, niby szyba tarczy;
 Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy.

III.

W Atenach wrzawa. Perscy heroldowie
 Stoją na rynku, i w nieznanój mowie
 Cóż ciżbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał;
 Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
 Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
 Na język swojski; a miało to znaczyć:
 „Daryusz, król Persów i Medów, Pan świata,

Na harde ludy plaga i zatrata,
 Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
 Na znak poddaństwa, dało wodę, ziemię;
 A może da się pokorą przebłagać,
 I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać.“
 Za każdym słowem, Lud jako lew mrucał,
 A potem śmiechem szyderskim zahuczał,
 Pluł w oczy Persom, szaty im rozdzielał;
 Ciskał kamieniem, — Pers z trwogi umierał;
 A Lud, jak rzeka ogromna w wylewie,
 Rwał ich ku sobie, szalał w wściekłym gniewie,
 I włókł ich drżących aż za miasta bramy.
 Tam między skalne przepaści rozłamy
 Wtrącił heroldów, i w ciemnię głęboką
 Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
 W dzikiój radości aż zębami zgrzytał
 Widząc, jak Pers się po urwiskach chwycił,
 I czepiał cierni i okrwawiał ręce,
 I wył jak szakal w przedśmiertelnój męce. —
 A potem — ścichło, — potem — jęk — o skały
 Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały,
 A lud zaciekły, zemstą rozjuszony

Szydził nad jamą stojąc pochylony:
 „Tam poddostatkiem i ziemi i wody!
 Jedzcie i pijcie!“

Temistokles młody

Wystąpił z tłumu, i rzecze: „Ojcowie!
 Słuszną ponieśli karę heroldowie,
 Lecz między nami jest Grek winowajca,
 Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca!
 Niech więc i tego nie ominie kara,
 Co plugawemi wyrazy barbara
 Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
 Ojcowie! on nam język nasz znieważył,
 On jego świętość pokalał i zbrukał,
 Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.
 Odkiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
 Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa;
 On nierozważnie o jej męty trącił,
 I czyste źródło mowy naszój zmacił.“
 A w całym tłumie jeden okrzyk płynie:
 „W przepaść z nim! w przepaść! Niech ginie,
 niech ginie!
 I ciągną Greka — on błaga ze łzami,

Żeby go razem nie grzebać z Persami,
 Żeby nie mieszać jego wolnych kości
 Z kośćmi sług podłych. W oznakę litości,
 Dwaj przyjaciele i bracia najszczerzy,
 Własną mu ręką rozplatali piersi.
 On błysnął okiem w bezmownym podzięku,
 I upadł trupem, bez skargi, bez jęku. —

IV.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
 Z czterech stron świata zlatują się sępy,
 Medy z Egiptem, Pers z Indyanami.
 A Artafernes i Datis wodzami.
 Aż wichr się zrywa od wiania buńczuków,
 I gwar powstaje od pochrzęstu łuków,
 Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
 Tak wielka koni i ludzi nawała:
 Moznaby z niemi podbić cały świat ten,
 A tam krzyk tylko: „Do Aten! Do Aten!“

I mają rozkaz surowy wodzowie,
 Żadnej ateńskiej nie przepuszczają głowie,

I wiele wiele przysposobić łyków;
 Tyle w Atenach wezmą niewolników.
 Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
 Zostały jeno ogryzki skieletu;
 Na szyjach niewiast szczyrbily się miecze,
 Zakładano się — kto więcej wysiecze!
 Noxos w płomieniach, nad nią dymy w chmu-
 rach,

A starce z dziatwą chronią się po górach.
 Morska Eubea w perzynie osiadła,
 Harda Eretrya do ziemi przypadła,
 I cała Grecya ztruchlała i zbladła. —

v.

W Atenach trwoga. Lud tłumem się zbiera.
 Milczy i smutnie po sobie spoziera.
 Wierny swój Naród opuściły Bogi,
 I do wyboru dały mu dwie drogi:
 Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!
 A jedni szepcą: „Nieprzyjaciół siła!
 Na cóż się przyda ofiara i męztwo?“
 A drudzy krzyczą: „Śmierć albo zwycięstwo!“

Śród nich Milcyades jak zesłannik bogów,
 Jak swa pyta z delfickich trójnogów,
 Słowem podźwiga struchlałego ducha.
 Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha:
 „Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
 Niech sobie powróz okreści o szyję,
 Niech własną wolę na wieki okiełza,
 Pan nie daleko — niech do niego pełza,
 I tam głaskany a potem wzgardzony,
 Niechaj na progach rozbija pokłony,
 Niech jak pies głodny czołga się bezkońca
 Za pańską nogą, która nim potraça.
 A my zostanmy! My w nieszczęściu razem!
 Albo wytepm wrogów tym żelazem,
 Lub za najświętszą wielkich bogów wołą,
 W grobie się wolni schroniem przed niewołą.
 Na naszej skroni tylko z laurów wieniec
 Lub bladeść trupia, — lecz nigdy rumieniec.
 Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
 I tą przemocą, co się zda niezłomną?
 Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu
 Wylęgła z prochu, czołgająca w prochu,

Którą do boju popędzają biczem,
 Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem?
 Jakąż nad nami może mieć przewagę,
 Zgięty niewolnik, którego odwagę
 Nikt nie ocenia, co bez łez umiera;
 A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
 Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
 A którą prawo nie włada — lecz pycha! —
 A nas, nas wielkich praojców posągi
 Do świetnych czynów wzywając, jak ongi
 Długim szeregiem ogrodziły rynek,
 Aby osądzić każdy nasz uczynek.
 Aby nas gromić marmurową twarzą,
 Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.
 A nas, nas wszystko do boju porywa,
 Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
 To jasne Niebo — co niesie w obłoku
 Cienia poległych, widne duszy oku.
 I cała przeszłość — ta przeszłość wiekowa,
 Co w swoim łonie tyle sławy chowa!
 Bogowie z nami! Jedno nasze ramie
 Tysiąc najeźdców zgruchocze i złamie.

Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
 Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
 Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!
 A lud wykrzyknął: „Śmierć albo zwycięstwo!”
 I wśród radości weselnych okrzyków,
 Posłał do Sparty i do Platejczyków
 Prosić pomocy.

Odmówiła Sparta

Bo jej zabrania święta ustaw karta,
 Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
 Na bój wyruszać w księżycy początku.
 Ale Platea nie bacząc na gwiazdy,
 Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

VI.

Nad Maratonem

Wzniosło się niebo zarzewiem czerwoném.
 Nad Maratonem przeciągają sępy;
 Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
 Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
 Rychło téż ścierwo na polu zobaczą. —

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
 Persom się zdaje, że ich oko ludzi;
 A gdy poznali istotę zjawiska,
 Zawrzał w ich szykach śmiech urągowiska.
 Med pomrukuje: „Szaleni, szaleni!
 Jeden na tysiąc; my niezwyciężeni!“
 Grecy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą.
 I na znak dany miecze się podnoszą,
 Noga wprzód sunie, mur się tworzy z tarczy.
 Od strony Medów już milion strzał warczy,
 Już się zbliżają, już ku sobie biegną...
 Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą!

VII.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
 Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
 W nagłej potrzebie dla kraju posługi
 Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
 Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
 I za kraj może w tej chwili polegli,

I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
 Że nie wyrodnym był ojczyzny synem.
 W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
 Pozostał starzec ślepiec i niewiasta.
 A kto mógł patrzeć w trwożnym niepokoju,
 Czy nie zobaczy co od strony boju.
 Nic, nic nie widać; i słońce zagasło,
 I gwiazdy... Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło,
 Prędkimi kroki ktoś po bruku bije.
 I woła: „Tchu! tchu! Głosu! Grecya... żyje!
 Cześć! cześć! Milcyades!... Tchu!... Zwycięstwo
 z nami!...

Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
 Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył...
 I padł wołając: „Zwycięstwo!“ Już nie żył.
 A lud się cisnie, podnosi mu głowę,
 Rozrywa zbroję, — całe ciało zdrowe
 Ni śladu rany.

VIII.

Na pobojowisku
 Po całodzienném morderczém igrzysku,
 Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie,

Tysiące ludu usnęły spokojnie.
 Grecy z Persami na jedném posłaniu
 Leżą bez gniewu w wieczném pobrataniu.
 A przy nich kruki kraczą i godują,
 I skrzyplym głosem braci swych zwołują.
 Z jednego Greka kruk ciało wrywa,
 Grek konający tak do niego śpiewa:
 „O szarp, szarp serce, niech już nie zamiera!
 O pij, pij kruk, krew to bohatera!
 Szarp, pij a dziob twój jak ramię urośnie.“

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
 Nad każdym trupem chyłą się z kagańcem,
 Czy okrytego nieprzyjaciół szanćcem
 Nie ujrzą ojca, kochanka lub męża.

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża.
 To Sparta idzie obaczyć ciekawa,
 Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
 Gdzie Med okrutny, co swe straszne imię
 Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie,
 Teraz bezwładnym snem spokojnym drzymie.

Kornel Ujéjski.

ODA DO JENIUSZA.



Jeniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
 Skrzydłem twém boskiem obwiewaj
 mą duszę,

A śpiewać będę, i śpiewem poruszę
 Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
 W olbrzymich kształtach odzieniem ciemnoty
 Niebo zakryją — zadrzy świat w przeststrachu,
 Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty

Tam — w chmury czarne. —
 Pieśń i tam zadźwięczy;
 A okiem tęczy
 Chmury w krąg ogarnę!

Jeniuszu! gdy burza ześle wiatry mściwe,
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojém skrzydłem popędzić na fali!

Niechaj nadpowietrzne żagle,
Serce moje, duszę wzmogą;
Wiatry zdepcę moją nogą,
I do jarzma wiatry znagle!

Jeniuszu! gdy ludzie uspieni bezwładnie
Od burzy legną, co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy do duszy
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc wpadnie.

Wszystkie siły wstrząsnie na dnie,
Wstrząsnie cały świat uspiony,
Jako lutni mojej strony
Kiedy niemi ręka władnie!

Jeniuszu! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy jak w piekle zemsty sobie nie śnią;
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:

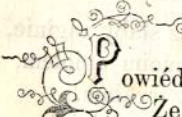
Jako sercu, — myśl wysoka,
Jako myśli, — czynów dzielność,
Jako czas, — pieśniom proroka,
Jako prawdzie, — nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Jeniuszu! ty i w śmierci bądź moim aniołem,
Niech życie skończę jak życie zaczęłam,
Życie i śpiew mój, ach w jednej godzinie!

Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę w przypomnieniu.

Stefan Garczyński.

NIEPEWNOŚĆ.


Powiedz dziewczę, co przyczyną,
 Że łzy z oczu twoich płyną?
 Gdy skowronki w chmurach dzwonią,
 Gdy oddychasz kwiatów wonią,
 Gdy pogodę masz na niebie,
 A kochanka obok ciebie.
 Powiedz dziewczę co przyczyną,
 Że łzy z oczu twoich płyną?

Ach!... ja płaczę, bom widziała,
 Że niech tylko zima biała
 Dmuchnie szronem na dni lata,
 Skowroneczek wnet odlata. —

Ach! ja płaczę, bom widziała
 Ilem razy kwiatki rwała —

Że kwiat każdy w mojej dłoni
 Wiądl bez barwy i bez woni.

Ach! ja płaczę, bom widziała
 Gdy się zorza uśmiechała
 Dnia pogody obietnicą,
 To zaświsnął wiatr ponury
 Przywiał zdala ciemne chmury,
 I pioruny z nawałnicą.
 Czyż tak będzie wiek radosny
 I me szczęście i kochanek,
 Jak skowronki, jak wiatr wiosny,
 Jak pięknego dnia poranek?


* * *

Ludzie, ludzie wy niewiecie
 Że jest szczęście na tym świecie
 Patrzeć w niebo, gonić okiem
 Za gwiazdeczką, za obłokiem,
 Słuchać pieśni, którą śpiewa
 Naszój duszy duch przyrody
 W głosie ptasząt, w dźwięku wody,
 W szeleszczących listkach drzewa;

I nawzajem wysnuć z siebie
 Pieśń piękniejszą, pieśń marzenia.
 O aniołach i o niebie;
 I w szlachetne uderzenia
 Wybić wszystkie serca bicia;
 I żyć pełnią swego życia,
 Mieć za sobą lat niewiele,
 Mieć przed sobą szczęścia wieki,
 W sobie duszę, która śmieje
 Dąży w przyszłość, w kraj daleki,
 W kraj z pięknnością i swobodą
 Snem miłości czucia wiary,
 Kochać, wierzyć, czuć bez miary,
 Być kochaną — umrzeć młodą —
 Ludzie, ludzie, czyż niewiecie,
 Że to szczęściem jest na świecie!

Gabryella Narcyssa Żmichowska.

KAPLICA.


 Słonko patrzy do kaplicy,
 W małych szybkach światło dwoi,
 A w kaplicy katafalek,
 Na nim czarna trumna stoi.

W trumnie leży na atlasach
 Błada postać w sukni białej,
 Długie włosy rozczesane,
 W suchych splotach opadały.

Wonią kwiaty i kadzidła...
 Myrt uwieńcza długie sploty,
 Szkliste oczy lśnią z pod rzęsów —
 W zimnych rączkach krzyżyk złoty.

Cug porusza koronkami,
I falbaną blondynową;
Igra gaza nad jój czołem,
Jakby oblok w noc majową.

Światło dnia ze światłem gromnic,
Łączą zwodne swe uroki,
I pozorem życia barwią
Martwe lica, martwe zwłoki!

Oczom — braknie tylko spojrzeć,
Piersi — tylko brak oddechu,
A po ustach zda się błąka
Odcień bólu i uśmiechu.

Słonko patrzy do kaplicy,
W barwnych szybkach światło dwoi,
A w kaplicy katafalek,
Przy nim... błąd człowiek stoi.

I utopił w postać zmarłej
Wzrok rozpaczy — suchy, sztywny,
I na ustach zaciśniętych
Siadł mu uśmiech jakiś dziwny.

Dziwny, bo na wargach tylko
Budził drganie chorowite,
Kiedy oczy wciąż do trumny,
Jak przykute, jak przybite!

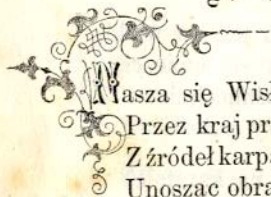
Dziwny — bo on już na wieki,
W młodej twarzy się umieści,
I tak samo się uśmiechnie
Do radości — czy boleści.

Zadrzał... wbiegł na katafalek
I do zimnych ust dziewicy
Tulił usta — a karawan
Już gotowy na ulicy...

Krewni licznie się zebrali,
Tum powozów aż się roi,...
Po kaplicy igra słonko —
...Katafalek próżny stoi.

Włodzimierz Wolski.

Do Wisły.



Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj przeniezny, polisty, uroczy,
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.

A nad nią w wodzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha.
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.

A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jój niesłychać — tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Stare się wierzby nad nią zadumały
O swój starości, o spruchniałej korze,

Spadłych konarach i wiosennej porze —
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szate.

Rzadko już buki i piękne dąbrowy,
Pławią w jój nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce —
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie korony rozwiała. —

Ty płyniesz Wisło — a jak kapłan stary
Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem,
Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem,
On cię nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świętym chryzmatem pamiątek namaści.

Ty na twém łonie, jak matka pieściwa
Kołyszysz mury wspaniałej Warszawy,
Odbijasz złote kaźmierowskie żniwa,
Biegiesz ciekawa pod piękne Puławy,

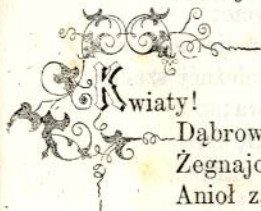
I coraz szersza, coraz więcej pańska,
 Płyniesz do niegdyś lennego ci Gdańska.
 A pod Krakowem na długim galarze
 Gwarzą i kurzą fajczyjska węglarze,
 Po bokach węgiel w ośmiu kupach leży,
 We środku budka, u wiosła flis czuwa.
 Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
 On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
 Zwija koszuli rękawy bufiaste,
 I szarawary poprawia pasiaste —
 Ma kaftan długi z czerwonym podbiciem,
 A twarz z rumieńcem, wąsiskiem i życiem.
 W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
 Na niej, jak w własnej chacie gospodarzy,
 I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
 Węgiel bręczkowski, albo laryszowski.
 Wisło! ty niesiesz na swoim pruskorze
 Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
 I cynk srebrny i sól, i gips biały,
 Wapno, owoce i świeże nabiały. —
 Niesiesz gdy zechcesz, — a gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli,

Lub galar wiosłem twoje fale liznie,
 Ty nie chcesz — muszę stanąć na mieliznie —
 Ty zechcesz — płyną — a widnokrąg cały
 Zda się ucieka, i chowa i znika,
 I czasem tylko plusną twoje wały
 Płetwą szczupaka, wód twych rozbójnika.
 Lub wir je kręci, a na dnach łożyska
 Igrają chmury i słońce rozbłyska —
 Ptaszki świergocą w nadbrzeźnej wiklinie,
 U góry bocian wyciągnięty płynie,
 A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
 A gdy cię Wisło ścisną zimne lody,
 Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica
 Aż lód przepali — wtedy z strasznym grzmotem
 Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
 A pierś swą wzdymasz za wiosny powrotem.
 A kiedy w górach potopnieją śniegi
 Ty nagle groźna, wychodzisz nad brzegi,
 Zalewasz pola, i unosisz z sobą
 Wieśniacze chaty, z całą ich chudobą;

Rozwalasz domy — z za twojej fali
 Nieraz niemowlę w kolysce się żali —
 A potem znowu wracasz w tve ukrycie,
 I cicho płyniesz w twém dawném korycie.
 W starym korycie, ukochana rzeko!
 Niechaj spokojnie twoje nurty cieką,
 Niech nasze żwawe i urocze dziewczki
 Nad twym strumieniem zaplatają włosy,
 Pław na galarach nasze złote kłosy,
 Lekkich berlinek wzdymaj chorągiewki,
 Niechaj szumiące, żelazne młokosy
 Statki parowe, lentą Cię nie rażą,
 Ty je nieś Wisło z śmiejącą się twarzą,
 A wtedy dawny przyjaciel, szypr stary,
 Kupi ci suknią za gdańskie talary.

Antoni Czajkowski.

POCZĄTEK ZIMY.




Kwiaty!
 Dąbrowo!
 Żegnajcie nam!
 Anioł zatraty
 Z północnych wyjrzał bram,
 I rzekł zniszczenia słowo.
 A na to słowo do koła
 Więdną i trawki i ziola;
 Twarz się przyrody mieni,
 Jój skroń, obleka pleśń.
 I nieskończona
 Skowronka pieśń
 W przestrzeni
 Kona.

Hola!
 Słyszycie,
 Widzicie, — tam
 Przez nagie pola
 Zbliża się tuman k'nam;
 A za nim burzy wycie;
 A wśród burzy, w majestacie,
 W rozpuszczonej, śnieżnej szacie,
 Idzie władczyńi nowa;
 I przez tumanu mgłę
 Znaczy oczyma,
 Dziedzictwa swe
 Królowa
 Zima.

Biada
 Wam kwiatki
 Majowych błoń!
 Już zmrok zapada,
 Blednieje słońca skroń;
 Biada wam światła dziatki!
 W pośród nocy i chaosu
 Ostatek pulsu i głosu

U matki ziemi znika;
 Grobowy bije dzwon;
 A z nim gromada
 Kruków i wron
 Wykrzyka
 „Biada!“
 A my
 Synowie
 Wichru i burz!
 Zkądże uszczkniemy
 Na wieniec dla was róż
 Wielcy w grobach ojcowie?
 Niech świszczą wichry, grom błyska!
 My siedziem blisko ogniska,
 Pójdzie czasa do koła,
 Z nią ku czci przeszłych lat
 Piosnka radosna;
 Nim świeży kwiat
 Wywoła
 Wiosna.

SARNECZKA — LASZKA.


 Igra w dąbrowie sarneczka polna;
Igra w ogrodzie laszka swawolna:
Sarneczko — laszko! poproś ty Boga —
Lecz nie! — już dla mnie wskazana droga.

Jako wiatr liściem los mną pomiata,
I bliżej dla mnie do krańców świata,
I bliżej dla mnie do wrót wieczności,
Jak do dzielonej z tobą radości.

Syn ja niedoli — a więc bądź zdrowa!
Samotne moje wędrowne tony —
Precz łzy odemnie! precz żalu słowa!
Ze mną wy myśli, moje upiory!...

T. Olizarowski.

DO WIESNIACZKI.

 Witaj nadobne dziewczę, co w niedzielny
ranek

Długie pacierze mawiasz, — cicha jak baranek
Na chorągwi kościelnej. W każdym kącie chaty
Żyjąca świeżym czynem; tu na prostym stole
Zmyte naczynia stawiasz, jak po deszczu kwiaty,
Tam znów wilgotny piasek w złotém sypiąc kole
Czarą podłogę krasisz, maisz tatarakiem,
Ażeby wszystko było wedle téj pogody
Którać na czole świeci — Ty z domowym ptakiem,
I z kwiatem co na szybach gęste liście wspiera,
Zawsze masz coś pomówić — a jak w toniach wody,
Cichy brzeg mchem zielonym cicho się przeziara,
I polotnym obrazem neći wzrok w odbiciu;
Tak i myśl twoja póty, póty w sercu wzbiera,

Aż mimowolnym czynem odbija się w życiu.
Twoje myśli są w sercu, twoje serce w domu,
I dom bez serca twego byłby tylko drewnem,
Jak drewno znikłby w pruchnie, lub w uściskach
gromu,
Rozplakałby się może, — lecz nie czuciem
rzewnem,

Jedno tym głosem ducha co pod mokrą korą
Długo, cieniuchno piszczy kiedy drewnka gorą.
Miłość twa jak jagoda sama w usta płynie,
A uścisk szorstkiej dłoni, lubo nie światowy,
Jednakże taki pewny, żeby nie dziewczynie
Lecz wojakowi przystał. Ty nie łamiesz głowy
Nad strojem, jako brzoza co się nie kłopotce
Czy ją śnieg brylantuje, czy ją wichur krzywi,
Bo gdy da Pan Bóg dożyć, bocian zaklekoce
Wszystko się razem znajdzie, wszystko się odżywi.

Cypryan Norwid.

ZA SŁUŻBĄ.



A rzyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie na progu
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletne,
Złotowłose, w twarzy żółte, szpetne,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?

— Sława Bogu!

— Na wiek wieków!

— Co chcesz dziecię moje?

— Ta za służbą... o! pies! ja się boję!

— Pies ten złego nie robi nikomu,
Chodź tu bliżej, bliżej, a czyja ty?

— Ta niczyja.

— A gdzie matka?

— Zmarła maty.

— A twój ojciec?

— Ojciec w karczmie siedzi,

— Cóż ty robisz?

— Żywią mnie sąsiedzi,

Czasem dadzą, a czasem nie dadzą.

W zimie często do pierza posadzą,

Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje

Jagodami, ot! człowiek bieduje!

— Jaki człowiek?

— Ta ja pani miła,

Ciężkie moje życie, lepiej gdzie mogiła,

Tam gdzie matka... O! źle być sierotą

Na wierzchu ziemi...

— O moje złoto!

Takie małe!... tak mówi rozumnie,

To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?

Cóż ty umiesz?

— Ta, chatę zamiatać,

Myć naczynie...

— Figle umiesz płatać?

(Ono myśli długo) — Także umiem,

A i gęsi ludzkie paść rozumiem...

— Czy ty głodna?... /

— O! o! bardzo głodna...

O ty ziemio nasza! ty zawodna!

O ty ziemio nasza! tak bogata

Że wyżywić mogłabyś pół świata,

A dla własnych dzieci nie masz chleba...

Bujne twoje łąki, żyzne niwy,

Zawsze pełne rosy twoje nieba,

A podobnaś do popiołów urny,

I lud często chodzi smutny, chmurny,

Często grzeszy, ach! bo nieszczęśliwy.

O! ty ziemio nasza! ty zawodna!

Strojna taka licem i swobodna,

Grzybne twoje lasy, wody hojne,

Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,

A dla większej części twego płodu,

O! nie owoców już, ani miodu,

Ale nie masz nawet chleba, chleba...

Patrz, to dziecko prawie od kołyski

Smutnie patrzy na twoje połyski,
 Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
 Rozwinęła już jemu potrzeba
 Myśl i serce, i już traci wiarę:
 Ledwie mówić umie, już się skarży,
 I o grobie, niby starzec marzy...
 O ty ziemio! ty macocha gminu!...

* * *

Gdzie me dzieci, chodź tu, chodź mój synu,
 I ty drobne w pieluszkach, tu chodźcie,
 Usta wasze uśmiechem osłódźcie,
 Powitajcie tę siostrzyczkę waszą;
 Ta co zmarła, równie była małą!
 Niech was plamy w koszulce nie straszą,
 Bo jak wasze białem jest jój ciało.
 No, rączkami twarz jój pogłaskajcie,
 Ale najprzód jeść, o jeść jój dajcie!

Kornel Ujéjski.

SPIS POEZYZI.

	<i>Str.</i>
<i>Baliński Karol.</i> Obrazek	30
<i>Brodziński Kazimierz.</i> Czerniaków	23
<i>Czajkowski A.</i> Do Wisły	66
<i>Garczyński Stefan.</i> Oda do Jeniusza	57
<i>Jaśkowski J. N.</i> Początek zimy	71
<i>Norwid Cyprian.</i> Do Wieśniaczkii	75
<i>Olizarowski T.</i> Sarneczka — Laszka	74
<i>Ujęjski Kornel.</i> Maraton	42
„ „ Za Służbę	77
<i>Wolski Włodzimierz.</i> Kapłca	63
<i>Żmichowska Gabriella Narcyssa.</i> Niepewność	60
<i>Życiorys Kazimierza Brodzińskiego.</i>	3

Sprostowanie. W poezyi „Do Wisły“ na str. 68 wiersz 6 z dołu zamiast *pruskorze* powinno być *przestworze*.

Cena kop. sr. 30.

TRENY JANA KOCHANOWSKIEGO.

(po śmierci córki Urszuli).

II.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
 A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,
 Bodaj żebych ¹⁾ był raczej kolebkę kołysał,
 I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
 Ktoremiby dziecińki noworodne śpiły,
 I swoich wychowañców lamenty tulily,
 Takiej fraszki mnie zbierać pożyteczniej było
 Niżli, co mię nieszczęście moje dziś wprawiło.
 Plakać nad głuchym grobem mój wdzięcznej dziewczyny
 I skarżyć się na srogość ciężkiej Proserpiny.
 Aleń użyć w obojgu jednakięj wolności
 Nie mógł; owom ominał jako w dojrzałości
 Dowcipu coś ranego; na to mię przygoda
 Gwałtem wbiła i moja nie nagrodna szkoda.

1) Bodaj żebym

Ani mi teraz łaeno dowiadać się o tem,
 Jaka mię z płaczu mego czeka cześć napotém.
 Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę,
 A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę,
 Próżno to: jakie szczęście ludzi naśladuje,
 Tak w nas abo dobrą myśl abo złą sprawuje.
 O prawo krzywdy pełne; o znikomych cieni
 Sroga, nieublagana nieużyta ksieni!
 Takli moja Urszula, jeszcze żyć na świecie
 Nje umiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
 I nie napatrzywszy się jasności słonecznej,
 Poszła nieboga widzieć krajów nocy wiecznej.
 A bodaj ani była świata oglądała:
 Co bowiem więcój, jeno ród a śmierć poznała?
 A miasto pociech, które winna z czasem była
 Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona,
 Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
 Ojczyznę, niżlibyś ty przestać na nię miała;
 To prawda żeby była nigdy nie zrównała

Z rany rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
 Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
 O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
 Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
 A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz,
 Na wieki, ani mojej tesknice ukrócisz.
 Nie ła, nie ła, ¹⁾ jedno się za tobą gotować,
 A stopeczkami twemi siebie naśladować:
 Tam cię ujrzę, da Pan Bóg, a ty więc z drogiemi
 Rzuć się ojcu do szyje ręczynkami swemi.

IV.

Zgnębiłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
 Żem widział umierając mile dziecię swoje,
 Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedojrzały;
 A rodzicom nieszczęsnyim serca się krajały,
 Nigdyćby ona była bez wielkiej żałości
 Mojej umrzeć nie mogła nigdy bez ciężkości
 I serdecznego bólu, w którymkolwiek lecie
 Mnieby smutnego była odbiegła na świecie;
 Alem ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
 Nigdy smutniejszy nie mógł być ani tęskliwszy,

1) Nie łaowo, trudno, inaczej być niemoże.

A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim
 Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,
 A przynajmniej tym czasem mogłem być odprawić
 Wiek swój i Persefonie ostatniej się stawić,
 Nie uczuwszy, na sercu tak wielkiej żalości,
 Któręj równia nie widzę w tój tu śmiertelności.
 Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
 Swoich najmilszych dziątek patrząc skamieniała.

V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
 Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem,
 Jeszcze ani gałązek ani listków rodząc,
 Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc,
 Tę jeźli ostre ciernie lub rodne pokrzywy
 Uprzątając sadników podciał ukwapliwy,
 Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,
 Upada przed nogami matki ulubionej:
 Takci się mój najmilszej Urszuli dostało.
 Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, 1) mało
 Od ziemi się wzniosłszy, duchem zarazliwym
 Srogięj śmierci otehniona, rodzicom troskliwym

1) Rosnąć — z tąd rość.

U nóg martwa upadła. O zła Persefono,
 Mogłaś tak wiele łzom dać upłynąć plono?

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo Słowiańska,
 Na którą nie tylko moja cząstka ziemiańska,
 Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała,
 Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
 Nowe piosnki sobie tworząc nie zamykając
 Ustek nigdy ale cały dzień prześpiewając,
 Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,
 Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
 Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
 Śmierć spłoszy, moja wdzięczna szczebiotko droga
 Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami
 I tę trochę teraz płacę sownie łzami;
 A tyś ani umierając śpiewać przestała,
 Lecz matkę ucałowawszy takeś żegnała:
 Już ja tobie moja matko służyć nie będę,
 Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde;
 Przyjdzie mi klucze położyć samej precz jechać,
 Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać,

To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
 Przypominać więcej, był jej głos ostateczny;
 A matce, słysząc żeganie tak żałośliwe,
 Dobre serce że od żalu zostało żywe.

(Jan Kochanowski, ur. r. 1530 w Sycynie w Radom-
 skiem, z Piotra sędz. ziem. Sand. i Anny Odrowążów-
 ny z Białaczewa, † 16 Sierpnia r. 1584 w Lublinie).

SATYRA.

ŚWIAT ZEPSUTY.

—

Wolno szaleć młodzieży, wolno starych zwo dzić,
 Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić.
 Godzi się kraść ojczyznę łatwą i powolną,
 A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
 Niech się miota złość na cię i hydrość bezczelna,
 Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.
 Gdzieżes cnoto? gdzieś prawdo? gdzieście się podziały?
 Tuście niegdyś najmiłsze przytulenie miały,
 Czeczyły was dobre nasze ojcy i pradziady:
 A synowie, co wbite stąpać mieli ślady,
 Szydząc z świętój pocziwych swych przodków prostoty,
 Za blask czczego poloru zamienili cnoty.
 Słów aż nadto, a same matactwa i lgarstwa.
 Wstręt ustał, a jawnego sprośność niedowiarstwa
 Śmie się targać na święte wiary tajemnice:
 Jad się szerzy, a źródło biorąc od stolice

Grozi dalszą zarazą. Pełno xiąg bezbożnych,
 Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych,
 A jeśli gdzie się cnota i pobożność mieści,
 Wyśmiewa ją zuchwałość, nawet w płci niewieściej,
 Wszędzie nierząd, rozpusty występki szkaradne,
 Gdzieżecie o matrony święte i przykładne?
 Gdzieżecie ludzie prawi? przystojna młodzieży?
 Oślepnął tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
 Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże;
 Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i męża.
 Zapamiętałe dzieci rodziców się wstydzą,
 Wadzą się przyjaciele, bracia nie nawidzą,
 Rwą krewni łup sierocy, łzy wdów piją zdrajce
 Oczyszcza wzgląd nieprawy jawne winowajce;
 Zdobycz wieków, zysk cnoty, posiadają zdzierce,
 Zwierzchność bez poważania, prawo w poniewierce.
 Zysk serca opanował, a co niegdyś tajna,
 Teraz złość na widoku, a cnota przedajna,
 Duchy przodków nagrody cnot co używacie,
 Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
 Jeśli odgłos działań naszych was kiedy doleci;
 Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
 Jesteśmy, ale z gruntu skażeni wyrodni,
 Jesteśmy, ale tego nazwiska niegodni,

To, co oni honorem, pocziwością zwali,
 My, prostotą ochrzcili; więc co szacowali
 My tem gardzim, a grzeczność przenosząc nad cnotę,
 Dzieci złe, psujem ojców — pocziwych robotę.
 Dobra była uprawa, lecz złe ziarno padło.
 Stądci teraz Fenixem prawe, zgodne stadło;
 Zysk małżeństwa kojarzy, żartem jest przysięga,
 Lubieżność spaja węzły, niestatek rozprzęga.
 Młodzież próżna nauki, a rozpusty chciwa,
 Skoro do rozwiążności, do cnoty leniwa.
 Zapamiętałe starcy, zhańbione przymioty,
 Śmieje się zbrodnia syta z pogneźbionej cnoty.
 Wstyd ustał, wstyd ostatnia niecnoty zaporą:
 Złość zarazna w swém źródle, a w skutkach zbyt spora,
 Przeistoczyła dawny grunt ustaw pocziwych.
 Chłubi się jawna kradzież z korzyści zelżywych,
 Nie masz jarzma, a jeśli jest taki, co dźwiga,
 Nie włożyła go cnota: fałsz, podłość, intryga.
 Płodzie szacownych ojców noszący nazwiska!
 Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ścisła,
 Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
 Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki gubią kraje.
 Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
 Który na gruncie cnoty rządów nie założył;

Próżno sobie pochlebia. Ten co niegdyś sływał,
 Rzym cnotliwy zwyciężał: Rzym występny zginął,
 Nie Goty, i Alany do szczytu go zniosły;
 Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posty,
 Te go w jarzmo wprawiły; skoro w enocie stygnął,
 Upadł i już się więcej odtąd nie podźwignął.
 Był czas kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
 Ten nas nierząd, o bracia pokonał i zgubił,
 Ten nas cudzym w łup oddał: z nas się złe zaczęło;
 Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
 Padnie słaby, i leże—wzmoże się wspaniały;
 Rozpacz podział niekzemnych. Wzmagają się wały,
 Grozi burza, grzmi niebo, okręt nie zatonie,
 Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie:
 A choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
 Poczciwiej być w okręcie; ocalić lub zginąć.

Ignacy Krasicki.

(Ignacy Krasicki ur. r. 1734, w Dubiecku woj. Ruskiem. † 14 Maja 1801 w Berlinie.)

J O D Ł A.

Kochanko! w cieniu tój jodły
 Słodkie godziny się wiodły;
 Ja przeczuwam, ja się smucę,
 Że tu więcej nie powrócę.

Gdy legnę w kraju potrzebie;
 A księżyc błysnie na niebie,
 Wyrwijże się matce z domu
 Pospiesz tutaj po kryjomu.

Zaspiewaj dumkę miłosną
 Którą nucilaś mi wiosną
 Którą echa roznaszały
 Na doliny i na skały,

A potem w ufném westchnieniu,
 Pojrzyj ku nieba sklepieniu:
 Tędy do mnie droga będzie,
 Tam mój tęskny duch osiędzie.

V Gdy, jak przy wiatru powiewie,
 Zaszumi liście na drzewie,
 Ja to będę, który skryty,
 Spieszę się nad jodeł szczyty.

V Wtedy gdy dłońmi zimnemi
 Spuszczę gałązkę ku ziemi,
 Zanieś w chatkę dla pamięci,
 Co ci tęskny duch poświęci.

Kazimierz Brodziński.

(Kazimierz Brodziński ur. w Galicyi 3 Marca 1791 r.
 † w Dreźnie 10 Października 1835 r.)

FRYDERYK SZOPEN.

FANTAZJA.

—
 1.

V Czy słyszycie z pod dłoni kobiety namiętnej,
 Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki? —
 Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
 Jakby obłęd pałący, a jak wiara smętny?
 Czujecie jak w tej nagłej i mistrzowskiej nucie,
 Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
 Lecz inne; nowe jakies powstaje uczucie,
 Jak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?

2.

A tony się płaczą; jak siecią pajęczą,
 Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;
 I śmieją się, płaczą i tęsknią i dzwiczczą,
 Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,

Lecz w sercu zostają. Uśmiechem prorocтва
 Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni;
 A potem jak w oczach namiętnej mistrzyni
 Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

3.

Ból! sieroctwo!—To nie krzyki,
 To wnikliwszej dźwięki mowy!
 Tak jak odźwięk tej muzyki
 Cichy, rzewny, pogrobowy,
 Ból! sieroctwo!—To nie krzyki,
 To jest prawdy dźwięk niemylny!
 Tak jak odźwięk tej muzyki
 Dziwny, smutny—ale silny.

4.

Lecz cóż śpiewać wyrazami?
 Gdy muzyka na pamięci,
 Tak wonnemi myśl wieńcami
 Opasuje, i tak smęcił...
 Od mazurków wieńca zacznę,
 Co to wrzkomo balamutne,
 Świetne lekkie i dziwaczne,
 A tak smutne, a tak smutne...

Jak to dziewczę, co to brata
 Wciąż z wojenki się spodziewa,
 I ze łzami warkocz spleta,
 I ze łzami piosnki śpiewa.
 W taniec proszą równiennice,
 Choć do tańca jest ochota,
 Dziewczę smutno skłania lice,
 Bo gdzieś tańczyć ma sierota?
 Na bulanym w tém ktoś jedzie...
 Dziewcze biegnie, klaszcze w ręce,
 Obcy człowiek konia wiedzie,
 A brat zginął na wojence."

Smutne, smutne, to mazurki!
 Jak ta matka co dla córki
 Na wesele przystrajała
 Białą suknię. Lecz martwica
 Wnet poczuła—i zatrula
 Tchem śmiertelnym córki lica.
 Matka białą suknię szyła,
 To też w białą przystroila
 Córki zwłoki—pochowała—
 Spij, spij cicho—lilio biała!

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono:
Co na zwrocie w szablę szcęk,
Pas podjęto, wąs kręcono!

Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,
Wąs sumisty, lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,

Że kto nawet i z kielicha
Jój nie pozna, to zje licha,
A tu przy nich tanecznice,
Tak urodne,
Tak rzewnością tchnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony
Czasem tworzy dziwaczniejsze!
Mazur smutny rozżalony,
Te bolesne posępniejsze,
Jakby dworek modrzewiowy.
Nizki stary pochylony;

A na ganku od ogrodu
Siedzi starzec pogarbiony;
Z szramą podłuż lysój głowy,
Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam—tam, ku zachodowi,
Wiejski kościół, słomą kryty.
Dalej cmentarz i krzyż wbity
Tu i owdzie. A starcowi
Czoło marszczy się powoli,
Gdy zachodu barwy chyże
Zrumieniły czarne krzyże,
Jakby mówił: Jam sierota!
Krzywda losu czleka boli.
W tém cmentarza proste wrota
Zawiózł syna mego zwłoki
Drugi gdzieś tam w świat szeroki
Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.
Starzec! krzywdę mam bez dzieci.
Jeszcze jakby z ust sędziwych
Wyszło kilka skarg za żywych,
A w niebo spojrział stary,
I zapłakał—pełen wiary.
W tém chłopczyzna z jasnym włosem
I oczyma niebieskiemi

Wbiegł i zaczął srebrnym głosem
 Nucić piosnkę.—Starzec z ziemi
 Znowu podniósł wzrok ku niebu,
 I tak słuchał piosnki wnuka,
 Jak rozrywki to się szuka.—
 Kiedy wróci się z pogrzebu.

6.

Teraz taniec ten niemiecki,
 Niby wesół—a tak mglisty,
 Tak powolny—a ognisty,
 Tak przelotny i zdradziecki—
 W jakież barwy kształtne, świetne,
 Nowe, rzadkie i szlachetne
 Dziwne pieśni te ustroił...
 Jakby dumał, jakby roił
 O mazurkach, krakowiakach,
 Kolomyjkach, kujawiakach,
 Śród Webera tęsknych czarów,
 Jakby dumkę ktoś zanucił
 Śród czarnego lasu jarów
 A niedawno Dniepr porzucił.

7.

A słyszycie marsz żalobny?
 Dzwony dźwięczą śpiew przegrobny,
 I karawan zwolna sunie
 Ten, co go to dają biedzie.
 Na nim trumna, a na trumnie
 Pałasz z czapką w krzyż złożone,
 A za trumną nikt nie idzie.
 Niebo szare zachmurzone,—
 Ani trąbka nie uderza
 Wojennego marszu dźwięki,
 Ani matki, braci jęki
 Nie zatęsknią na mogile
 Sieroty—żołnierza—
 Przecie nagle—ktoś na chwilę
 Wyrzwał z okien pałacowych;
 Jakaś twarz kobiety błada,
 Oczu szarych włosów płowych,
 I lza po łzie jęj upada.
 Czy sieroctwa współcierpienie?
 Znałż tego, co chowają?
 Dawnych marzeń też wspomnienie?
 Dość, że płacze...Dzwony grają.

8.

Lecz ziemi już dosyć!
 Teraz trzeba lot wznosić!
 Trza i na Tatrów szczytach
 Słuchać dźwięków potoku,
 Gdy po siwych granitach
 Pędzi fale—o mroku.—
 Trzeba słuchać jak w borze
 Jodły szepczą tak z cicha;
 Trzeba słuchać, jak morze
 Rozburzone oddycha
 Harmonią letniej nocy,
 Melodyą dziwną mroku,
 Tęskną groźbę północy,
 I poza-świat uroku.
 Trzeba słuchem muzyka
 Pojąć, ująć, i stworzyć;
 Trzeba drzwi te otworzyć;
 Które geniusz odmyka.
 Tęczowych marzeń trzeba,
 Odblaski pojąć lśniące,
 Kiedy płyną do nieba
 Fantazyami tęskniące.

✓
 Albo dusza gdy chmurna,
 Pół boleje pół śpiewa,
 I w ustępy nokturna
 Żalu boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,
 Gdy dla siebie śpiewa,
 I lotem króla ptaka
 Nad te góry i drzewa,
 Nad ludzi skrzydła wzbił;
 A świat pierzcha daleko,
 Jak mgła ranna nad rzeką
 Jak pył!

I czasem się zatrzyma
 Gdzieś nad wioską płonącą
 Dym kłębami się wzdyma,
 Matki z twarzą cierpiącą.
 Do piersi tułą dzieci.
 Płomień bucha czerwony
 On w niebieskie swe strony

Leci.

Trzeba wpoić się w żale,
 W młodej duszy rozczary,
 I zrozumieć, że w chwale

Najpiękniejsza korona,
Ta, co łzami zroszona
Ofiary.

9.

Bo nie wszystkim jest dane
Umieć siebie wynucić,
I marzenia rozwiane,
Wstęgą chwały obrzucić.
I nie wszystkim też dane,
Pojąć chwały tej blaski,
I najdroższe klejnoty
Z tej kosztownej przepaski
Spoić w jeden strój złoty.

10.

Bo geniusz, choć z wszystkimi
Sam przez życie przechodzi;
Tylu wie dzie na ziemi,
Ale sam schodzi;
Sam tylko jeden wśród ludzi wielu,
Których tak różna robota
Łączy ją, wznosi do swego celu,
Sam tylko jeden—sierota.

11.

Ból, sieroctwo i wiary promieniujące koło,
Przędę pieśni w żalobnych kwiatów wieńczącą zwoje...
Tworząc postać z tych pieśni, ubralbym jej czoło
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.
Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;
Usta ubralbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
Dniem za nią przed nią świecił—a w koło niej mrok.

12.

Bo to mroku był śpiewak tak cichy i łzawy,
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie,
A czasem tak posępny—lecz mało jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
Wszak o szarej godzinie najmiliej nas pieści;
On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami,
Wyśpiewał chwilę żalu, i syty boleści.
O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;
I ludził go, i nęcił, że switania blizki,
Lecz mrok wieszca swojego omroczył na wieki.—

13.

I losy skrzywdziły Słowiańską ziemię,
 Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
 I dzieciom jój licznym zsepilo się lice,
 Że o jednego znów osierociały!
 Ale ty błady uroczy cieniu!
 Już wynucieś, co nucić miałeś;
 Ty na melodyi srebrnym promieniu,
 Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś,
 Pieśni twych tęskne, świetne przedziwo,
 Już się wieczystym snuć będzie ciągiem.
 Ty w sercach naszych, co biją żywo,
 Choć bez posągu—będziesz posągiem.
 Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
 Leć bracie do braci swojej!
 Tam cię z nich każdy pieśnią powita,
 I czoło blaskiem ustroi.

14.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
 Zasłużonego rycerza w boju,
 Pili na stypie, pieśni śpiewali,
 By wędrowała dusza w spokoju.

Ty śpiewak w obcym usnąłeś kraju,
 Obcy ci piasek w oczy się sypie;
 Ja, według przodków naszych zwyczaj, u
 Choć pieśń żaloby nuceę na stypie.

Włodzimierz Wolski.

WIOSKA.

FANTAZJA.

Niekształtne wierzy nad lśniąca rzeką,
 Dziwaczne cienie rysują,
 Za niemi strome piasku wybrzeże,
 Na niem się topól wierzchołki snują,
 Nad niemi dymu fałdy się wleką,—
 W głębi bór ciemny, za nim daleko
 Jak dwa mgły słupy, dwie szare wieże...
 Niebo pogodne i księżyc biały
 Spokojnie świeci.
 A na wybrzeżu chałupy stały —
 Lecz się w nieładzie w koło rozsiały,
 Jak w schowanego, gdy grają dzieci,
 Z jednego dworka światła błyskały,
 Który we środku z topól spoziera.
 Jako staruszek wiekiem poblady
 Ciekaw czy wnuki spać się pokładły,
 Patrzy przez szpary.

Cicho! dym coraz wolniej się zbiera
 Koło topoli, coraz mniej szary,
 Już tylko blade węże się snują,
 Już go nie widać tylko szemrzące
 Marzenia boru tylko pluszczące
 Pieszczoty rzeki zdala wtorują
 Bolesnym dźwiękom które jak mary
 Blado, niekształtnie, zwolna się płaczą
 I w jakieś słowa, z cicha się łączą —

A wioska spała.—

Nad rzeką jakaś postać śpiewała
 Brunatną plachtą odziana cała.

Biednaż ja biedna
 Byłaś mi jedna —
 Moja dziecino,
 Moja jedyno!

Panicz pokochał
 Potém porzucił—
 I jak odjechał
 Już nie powrócił.

Tak się malenka
 Wciąż do mnie tuli,
 Ale wciąż straszno
 Biednej Hanuli.

Oj biała rzeko
Płyniesz daleko
Choć nie szeroko
Ale głęboko.—

Małąką moje
W objęcia swoje

Czemuś zabrała

O rzeko biała?

Czemuś wydarła

Moje dziecinę?

I ululała

Moje jedyne?

X Fala ku fali

Zwolna się trąci,—

W sercu się pali,

W głowie się mąci.

Biednaż ja biedna,

Byłaś mi jedna,

Moja dziecino,

Moja jedyño!

Postać śpiewała... aż rzeka biała
Nagle plusnęła.—Pieśni nie słyhać,
I lśniaca woda zda się oddychać,
I znowu pieści się lśniaca woda,

Zdała bór szumi,—niebios pogoda
Rozmowa jasna z temi gwiazdami,
Co to srebrnemi ciągnąc pasami
Nikną w przestrzeni.—

I tylko z bladym uśmiechem ciszy

Anioł spokoju zwolna się wije.

Śpi wioska cała nikt nie usłyszy

Jak tu kto cierpi jak tu kto żyje.

Wije się blade anioł spokoju,

Twardo śpią czoła zorane troską

Ciężką powieki spuchłe od znoju—

A sny wesole.—

Anioł spokoju

Blado się wije w powietrza fali

I mknie tak cicho dalej i dalej,

Przejrzystym pasem nad śpiącą wioską.—

Wioska śpi!

Śpi w spokojném zapomnieniu

O dniu przeszłym, o cierpieniu

Dnia przyszłego—śpi.—

Włodzimierz Wolski.

WIELKI PAN

U S T Ę P Z P O E M A T U

I.

Byłto sobie wielki Pan
Dzień w dzień wypił wina dzban.
Miał ci malowany dwór,
Tysiąc koni, dwieście sfór,
Rój hajduków, strzelców, sług,
Dwie kapele, gości huk.

Biały żupan nosił wciąż,
Złotej szabli kręty wąż,
Od kamieni drogich lśnił,
Jakby oczu tysiąc miał.
A kolasą w koni sześć,
Gdy się w koło kazał wieść,
Každy pan brat czapkę zdjął,
Chłopek każdy w duszy klął.

Wielki Pan dość młody był,
Bładych lic, lecz pelen sił,
Nieraz kiedy bywał sam,
Myślał: cóż że wszystko mam?
Jestem jak ten w polu bróg:
Wszystkich moich zabrał Bóg,
Świat w około i ja sam.
Na djabłaż mi to, co mam!—
Nie próżnował wina dzban,
Gdy tak myślał wielki Pan.

A przy dworze owym żył
Stary szlachcic w laskach był.
Walny lizacz kullów, mis,
Zwał się Wyga, herbu Lis.
Widząc, że tak Panu czczo,
Myśli: ja rozruszam go.
Rzekł więc: „Jaśnie Pan czy zgadł.
Jak na concept dziwny wpadł,
Czesnik? Aż mi szkoda słów!
Toć szlachciura mściwy ów,
Że mu chamów każem bić,
Jaśnie Pana, lotr śmie lżyć!”

Lżyć? Ej! my-l co mówisz Waśc,
Boć co z reszty może spaść!

— „Jasny panie! toć nie sen!
 Po sejmiku cześnik ten
 Śmiał do braci szlachty rzec;
 Że wołałby dać się spiec,
 I z dziadowską torbą iść,
 Niż gdyby Jaśnie Pan doń
 Dłoń wyciągnął, podał dłoń! —
 Gdyby też, wypadki są,
 Chciał za żonę córkę twą?”
 (Tak zagadnie lowczy go).

A tu cześnik nagle: „co?
 Córkę, córkę?... Waścin żart
 Razem z wami djabła wart.
 Za ubogi chaty próg,
 By swat pański wstąpić mógł.
 Zresztą, wolę dziewczkę tę
 Pierw w śmiertelnem widzieć żgle,
 Boże odpuść! niżli w tem —
 Panie bracie, gnieździe złém.
 Prawda, że nalewał w czub,
 I że marny jego ślub
 Tyle w uchu wagi ma,
 Co szczekanie zlego psa.

I choć niby, mówią to:
 Szlacheic z panem braćmi są
 Ale z kąd szlachecka złość,
 Śmie dotykać pańską mość?
 Więc luminarz naszych stron
 Co to równych stanem żon,
 Z tyłu dziewic panów z pań
 W krwi magnackiej czeka nań,
 A tak trudno chęć mu mieć
 Szlachecianeczki miałby chcieć?
 Cóżby na to nagle rzekł
 Antenatów cały stek,
 Antenatek cały rząd,
 Na ten w pańskim łożu trąd?
 Brzeczysz Wasze, jakby ul,
 Radzę także buzie stull!”

— „Jasny Panie! trudno znieść!
 — Przystańże Waśc, przestań pleść!
 „Bo gdy ludzie tacy zli”....
 — „Do stu czartów! mileżeć mi!
 Nagle wstając, pan mu wrzasł,
 Ręką ujął się za pas,
 I w podłogę tupnął tak
 Że na ziemi został znak.

Wyga głowę schylił w dół,
I szczękami tylko żuł.
Wzdychał, sapał, jakby miech,
Snadź coś trawił: strach czy śmiech,
Prędzój drugie, bo pan znów
Mniej już gniewnych użył słów:

— „No, a piękna-ż dziewczka ta?

— Jaśnie Panie! jakby skra!”

— „Piękna, mówisz. Wiem, że Waśc

Lubisz konie; jaką maść?

— Gniadą, panie jasny!”

— „No, jakiej maści dziewczce to?

— Jaśnie Panie! ciemny włos,

Mała rączka, kształtny nos,

Zęby perły, z ognia wzrok,

Biała i szesnasty rok.”

— „Kiedy gniadą lubisz maść

To ze stajni wez-że Waśc,

Na podarek gniadych pięć,

Za tę dobrą ku nam chęć.

No, a teraz można precz!”

— Panie z panów jasny! Lecz

Gdyby pierwszy z jego sług,

Jakiem słówkiem drasnąć mógł.

Czasem-bo się wypśnie rzecz...

— „Potem o tém! Teraz precz!”

Odszedł dworus. Wielki pan

Kazał podać wina dzban,

Popił i najeżył wąs:

Twarz mu bladą oblał pąs

Potem pobladał aż strach!

A od stąpan trząśł się gmach.

II.

Dwa miesiące przeszły już

A to czasu kawal!

Wielki Pan i wszereż i wzdłuż

Chodził to znów stawał.

Płowy, potem szary mrok

Na komnatę spada.

— „O! tak, tak... szesnasty rok.”

Nagle pan zagada.

— „Cha przeklęty Wyga ów!

Dawniej puhar, dawniej łowy

Nie trapiły serca, głowy:

Człek był smutny ale zdrów!

Dziś do czarta i pioruna!

W sercu pożar, w głowie luna!

Nieraz, gdy na lowach wpadł
 Tuż pognany na mnie dzik,
 Wkoło przestrah, w kolo krzyk;
 Czylim zadrzał albo zbladł?

Teraz gdy jął szatan kusić,
 Nielepiej-ż to było zmusić.
 Porwać dziewczkę, zawieść gdzie,
 Djabel nie wynajdzie sam,
 I tam rozmilować się
 I swobodnie szaleć tam.
 Całe życie teraz marne
 Złać w lubości jednym śnie,
 Śnić o oczach, że tak czarne
 I na jawie patrzeć w nie.
 Gdyby zaś kto śmiał się zalić,
 To go zrąbać, to go spalić,
 Bo tak mogłem, bo mój stan
 Nie zna przeszkód, bo ja pan!

By wywołać wilka z lasu,
 Nie tak wiele trza hałasu.
 Gdy szlacheiura marny śmiał
 De żywego dopiec mi;
 To on wzbudził gniew i szal
 To on winien żem tak chciał,
 Po co gada, na co drwi?

Lecz w ubogiej gdy komnatce
 Widzę smutne dziewczę to,
 Jak ku świętej Boga Matce
 Wznosi modłów czystych won;
 Czemu oko zajdzie łzą,
 Czemu zadrży mężka dłoń?
 Zkąd tak nagle i tajemnie,
 Głos nieznany zabrmi we mnie:
 Jak opryszek chciałeś podle,
 Dzikich pragnień tłumić zdrój,
 Na herbowém twojem godle
 Krwawy napis dodać: zbój!
 Wszak u mego tam klejnota
 Co to zawsze świecił wprzód,
 Stoi rzymski napis: *cnota*,
 A gdzie znamię moich *cnót*?

I pan chodził po komnacie
 W białym swym żupanie,
 A w obrazach co na ścianie
 Patrzy przodków szereg długi,
 Zbrojnych i w kościelnej szacie.

Gdzie złożone znów podwoje,
 Różne bronie, różne zbroje.

Wszystko męźnych to zasługi,
 Krwią je swą broczyli.
 Oszczep, Piastów co pamięta,
 Ku tarczy się chyli.
 Tu kolczuga, tu rozpięta
 Cała zbroja pod przyłbicą
 Owdzie kopia nad zbroicą.
 Tam tatarski przybór cały:
 Lśnią kolczany, strzały, łuki,
 Tam demeszki i buńczuki
 Od klejnotów połyskały.
 Owdzie rzędy dwa tureckie
 Owdzie miecze tkwią niemieckie,
 A przy końcu godła sławy,
 Buzdygany i buławy.
 Wraz pan stanął przed obrazem,
 Topiąc w niego wzrok ponury.
 Był to przodek jego, który
 Zginął w więzach bisurmana.
 I choć coraz większy mrok,
 Groźna postać kasztelana
 Jakby żywa, lśni żelazem.
 Zda się męźny, bystry wzrok
 Samym blaskiem wroga depcze.

Pan odwrócił nagle lice,
 Zapłonęły mu zrenice,
 Znowu chodzi, znowu szepcze:

„Nadaremne moje chęci,
 Próżno sercu robię gwałt,
 Już nie wyjdzie mi z pamięci
 Tej dziewoi cudny kształt.
 On się wszczepił w istotność moję,
 Jak w dębinę wzrasta mech,
 Ja zeń czerpię życia zdroje
 I zapalu święty dech.”

Stanął, pot mu z czoła ciekł,
 Chwilę milczał nagle rzekł:

— „Mam lirnika, który śpiewa
 Cudne pieśni. Gdy na stroi
 Dźwięczne struny, czy je zrywa?
 A pieśń smutna lub wesola
 Czy się przy mnie śpiewać boi?
 Mam się dręczyć wciąż i smucić!
 I ja lirnik chęć zanucić
 Jak w dziewicy białolicój,
 Co ma tęskny wzrok anioła,
 Królewic się rozmiłował.

V
Prawda, prawda, że to dalej
Smutku lirnik nie żałował,
Bo się krótko miłowali.
Gdy niestały gaszek młody,
Dziewczę kona gdzieś w klasztorze
Dość mam smutku, chcę swobody,
Więc też inną śpiewkę złożę."

Nagle czapkę na stół ciska,
Z oczu zamiar jakiś błyska:
Już mu czoło namysł daje,
Już go w pewność uśmiech zmienia;
Lecz znów nagły cień powstaje
Zamyslenia czy zwątpienia.
Coś go trapi, coś go dąsa,
Bo wykrzyknął, kręcąc wąsa:

— „Cha! A gdyby za złe wzięli,
To do djabła afekt bratni
Całej mojej paranteli.
Z méj gałęzi: jam ostatni!
Gdyby jednak w chęci zléj
Cześćnik wtedy jeszcze trwał,
Lekceważyć gdyby śmiał:
Hola! mimo córki twój,

Niechno Waszmość się nie drażni.
Aniś śnił o takiej łaźni,
Jaką bym ci sprawił, stary!
Ja-c karmazyn dobrej wiary!"
Do podwojów pobiegł wraz,
Tam pacholków cały rój,
„Wolać Wygę!" nagle wrzasł,
Aż sród starych brzękło zbrój.

III.

Już, na północ kury piały,
Księżyc bujał się w jeziorze,
Bór szeleścił, sad przy borze,
A we środku dworek biały.
Daléj—kilka chat, co szare
Tu i owdzie się rozbiegły,
Przy nich szemrzą grusze stare,
Słychać mlyna szum odległy.

Zatętnilo nagle w boru,
Przez płot nagle ktoś przeskoczył;
Potem sadem zwolna kroczył
Aż pod samo okno dworu.
A w tém oknie, co się całe
Otworzyło, jakby czarem,

Błysły na tle nocy szarem
 Jak dwa z kwiatów wieńce białe,
 Dwa ramiona. Potem, chwila!
 Cała postać się wychyla,
 Wiotko, giętko bielejąca.

Lubisz brzozę, gdy płacząca
 Ze smukłego zwiesi drzewa
 Gałęzisty strój przezroczy;
 I tak gnie się, tak omdlewa,
 Kiedy w stawie go umoczy?

Księżyc, jakby na meczecie,
 Lśnił pół-licem z za drzew ciągu,
 Jakby kształtną twarz posągu,
 W promieniste światła siecie
 Ujął białą twarz postaci.

Nocy, nocy, tyś macocha
 Dla spojrzenia, co nie kocha,
 Co się zbędzie w ciżbie miejskiej
 Ulud tkanki czarodziejskiej
 I wspomnienie jój utraci.

Lecz niech czoło twoje świeci
 Ciszy wiejskiej urokami,
 Lecz chciéj darzyć twoje dzieci,
 Jakby matka pieśzcotami.

To na cieniów twych pościeli
 Choć wesołość sposepnieje,
 Lecz się smutek rozweseli,
 A marzenie wyświecnieje.

Wychylona postać biała,
 Coś powoli zaszepiała
 Do przybysza, który w ciemnej,
 Długiéj burce osłoniony,
 Jakby jaki duch podziemny
 Stał posepny, zamysłony:

— „Cóż mnie począc, mnie' niewieście
 Że wciąż smutni tak jesteście?
 Czym już niedość nagrzeszyla,
 Że szlachecka ja dziewica,
 Tylem z Wami słów mówiła,
 A bez wiedzy to rodzica.
 Więc zlitujcie się nademną,
 Pożegnajcie — to daremno!

Wy Pan wielki, ja uboga,
 Tak! Wy w radość niebogaci,
 Lecz ja modłę się do Boga
 Za cierpiących wszystkich braci.
 Więc pomodłę się ze łzami
 Za Wasz smutek, za Was, bracie!

Choć zapomnieć mnie zdołacie,
Będę modlić się za Wami."

— „Łatwiej tobie znieść cierpienie,
Lecz mnie trudniej już, Heleno!
Nie znam ceny, którą ceną
Można kupić zapomnienie.
Gdy znasz sposób niepamięci,
Nie wymodlisz mi sposobu:
Mężkie serce gdy co święci,
To już święte mu do grobu!

I Heleny spojrzeń śledzi,
Ona w swem okienku stała
Jak kapłanka owa biała,
Która w duszy udręczeniu,
Kiedy pragnie myśl spowiedzi,
Promienieje nam w sumieniu.
To rozdrażnia, to osłania
Tajne rany zadawniałe,
A oblicze ma tak białe,
Ta kapłanka przekonania.

Jakoś smutno okiem rzucił,
Przykrą pewno myśl odpycha,

Nagle burkę z siebie zrzucił,
Mówił prędko chociaż zcicha.

— „Wszak o dworskość jam niedbały.
Czeze jęć miękkie swięgotanie;
Bo nie młodzik ja niestały,
Co mu starczy lubowanie.
Lecz w twęj świętej niewinności,
Czy twa młoda myśl ogarnie
Całą prawdę mój miłości,
Jęć płomienie i męczarnie?
Może pojdziesz — więc posłuchaj...

Miałem w borach mych bagnisko,
Niedostępna gąszcza głucha;
Staręj baszty tam zwalisko,
Jak przeszłości smutną marę,
Podnosiło gruzy szare.
Nieraz gdy się gnało zwierza,
Dobrze mając go na oku;
To już ani rusz ogarów
Skoro bagnisk tych dotarły:
Tylko żarły się, a darły.
Ale dalej jak od czarów,
Szczuj, zabijaj — ani kroku!
Wiejska gawiedz wciąż prawila,

Że tam zle ma swoje leże:
Smutna bo też ustron była!

Myszę: zniszczę starą wieżę,
Ogniem strachów z niej dostanie,
W zrębie boru, na polanie
Będzie nowe potem siolo.
Więc na staje dobrą wkoło,
Sosny legły jak pokosem,
I potrójnym drzewa stosem,
Starą basztę obłożono.
Ot po strach było pono,
Gdy cma puciek, nietoperzy,
Sów—frunęła z starój wieży.
Płomień bucha, i czerwoną
Wstęgą ima szare mury:
To wystrzela raz do góry
To wężami ognistemi
Z dymem pełnie aż po ziemi;
To spojony nagle w kupie,
W krwawym pasie, w żółtym słupie,
Wściekłym chwyta ją uściskiem,
Slizga, gnie się nad zwaliskiem.
Wreszcie wszystkie swe płomienie
Skupia w jedno rozjątrzenie;

Trzeszczą belki, rozetlone
Węgłe z wiatrem lecą w koło;
Lecz zwalisko niewzruszone,
Śród płomieni wznosi czoło.
I ni cząstka starej wieży
Nie runęła—płomień pała,
Płomień gaśnie;—znowu stała
W osmolonój swój odzieży.
Więc żal było mi zwaliska,
Myszę; niech zostanie sobie,
I nie siolo, lecz kaplicy
Mur bielony dziś połyska,
Jak nić biała przy żalobie,
Złotym krzyżem przy wieżycy.”

Wraz mu oczy zmiękły rzewnie,
I zabrzmiały słowa śpiewnie:
—„Tak Heleno! Jak wieżycy
Ocalona śród pożaru,
Dusza moja samotnica,
Pośród szumu, huku, gwaru,
Czczych uniesień grzązkie gniazdo
Rozkieleznana i zdziczała,

W ciągłej nocy, żadną gwiazdą
 Nieośnionej—głucho spała.
 Jak kaplica z białym murem,
 Gdzie blask krzyża słońce wita,
 Przy zwalisku tém ponturém
 Biała postać twoja świta.
 Śród grzmiącego mego dworu,
 Jam się tulał, jak śród boru.
 Noc—śnieg z wiatrem w oczy szczypie,
 Sosny straszą jak zjawiska;
 Pośród sosen coś polyska,
 Może wilków chciwe ślepie.
 A wędrowiec sam bez broni,
 W kolo puszcza i wyboje:
 Gdzie przyjaznej szukać dłoni,
 Gdzie pomocy, dziewczę moje?

Cichych, kształtnych kwiatów stroje
 Pociuszają wody mętne:
 Lili wodnej wieńce smętne
 Na jeziora ciemnych falach,
 Jak pociechy lzy po żalach,
 Miękkie liście rozkładają.

Gdy myśl smutna u piosenki
 To smutniejsze pewno dźwięki,
 Co jej słowom pomagają.
 Więc wrażliwa myśl dziewczęcia
 Zrozumiała błuszczu zgięcia,
 Gdy po gruzach pnie się—szary—
 Lecz wnet serce myśl zagłuszy,
 I powstaje w młodej duszy
 Myśl pociechy i ofiary,
 Taka tęskna i tak miła,
 Jak łagodny wdzięk oblicza,
 Jako głowa ta dziewczicza
 W ciemnych włosów wonnym cieniu,
 Co nie znacznie się schyliła
 Ku obliczu i ramieniu.
 Te choć silne—nagle drżały,
 Bo w tej piersi rozuzdaniej,
 Która w żądze była chora,
 Niewinności wonie wiały.
 Tak—ciemnawa drzewa kora,
 Gdy ją powój rozkochany
 W liście, w kwiatów strój obleje,
 Zapachnieje, wybieleje.

IV.

—,Panie! dawno piał już kur.
 Snadź dziewienka temu gwoli,
 Siwek czeka przy topoli
 A kolasę m cofnął w bór”.

—,Więc Waśc żwawo prowadź tam,
 A w kolasie odjedź sam!

—,Co? sam Wyga, Panie Jasny?
 Nie pojedziem samotrzeci?
 To—piechotą będzie szła?

—,Pilnuj Waszmość skóry własnej,
 Co snać świerzbi już Waszeci.
 Rób co każe, zresztą sza!”

—,Ależ widzę nieprzelewki
 Jasny Panie! Dla tej dziewczki
 Tyle marnych ceregielei!

—,Jak Waśc słówkiem jeszcze strzeli
 I zaprawi słówko jadem;
 To, dalipan, płozem skroję
 Aż się Waści przyśnią troje:
 Dziad i pradziad z prapradziadem!

—,Jasny Panie! śmi lbym prosić.
 Jedno słówko — toć nie zbyt ne!”

—,Do stu czartów rzekłem dosyć!
 Bo naprawdę nosa przytnę!

Wyga żwawo poszedł wprzód,
 Tylko cicho coś mamrota;
 Paa za cugle konia jął,
 Zapiął burkę, wskoczył spał,
 Sunął strzałą wedle płota,
 Ale potem zwolnił chód,
 I zawrócił, kędy sad
 Zdała w mroku nocnym bladł.
 I tak długo w miejscu stał
 I wzrok tęskny wodził w dal.
 Jakby było jemu żal
 Chwil uroczych, jakby chciał
 Ciąg utworzyć wrażeń tych,
 Nieprzerwany nigdy czar,
 Bo na ustach siadł mu śmiech,
 Ten uludny luby dar,
 Którym szczęście uczcić chce
 Tych co mogą wierzyć w nie.

Bo choć biada długo dręczy,
 Losu tęcza niech zaświta:

Niebo śmielszej nie ma tęczy,
 Jak jej wstęga, różnolita.
 W chmurnej duszy, gdy połyska
 Jej barwisty łuk wspaniały;
 W świetle jego i zwaliska.
 Dumniej będą wyglądały.
 A promienne światła skronie,
 Patrząc w serce co tęskniło,
 Gdy rozjaśnią to ustronie,
 Gdzie najciemniej przedtem było;
 Wtedy głos niebiański dzwoni
 Ponad tęskną, dawną ciszą,
 Puchy światła, dźwięki woni,
 Ciągły urok w niem kołyszą.
 Śród tęczowych, kształtnych zgięci,
 Szczęście wszystkie barwy zmieści,
 Tam wielkości szkarłat nęci,
 Tam różową miłość pieści.

PACIERZ STARUSZKA.

Gończe złotego słońca, różana jutrzeńko!
 Jużes to w chatki mojej zajrzała okienko?
 O jak ślicznie z twój twarzy promień bije czysty
 Przez te młode gałązki leszczyny krzewistój!
 I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
 Nuąc sobie, świt biały witasz jaskółeczko!
 Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
 Wzbivszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.
 Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa
 Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,
 Każdy się kwiat rozwija, i kształt bierze żywy,
 I mnie się zdaje, że mój włos odmłodził siwy.
 Kiju mój! ty starości mój wierna podpořo,
 Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.
 Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,
 I łąkom się zielonym przypatrywać będę.

Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
 O jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem.
 Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,
 Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia:
 Pastuszek na utorze, ptaszek na gałęzi
 Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.
 Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych,
 Po dolinach czystymi strugi przepłcionych;
 Harcują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,
 Każdy huczne wesele okazując rykiem.
 Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórco mój łaskawy,
 Patrzeć będę na dziwne Boskiej ręki sprawy,
 I świadkiem twój dobroci? Już dziewiąty schodzi
 Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
 Po białej zimie wiosna, a gdy myśl skrzydłata,
 Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,
 I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
 Co się między mym grobem i kolebką szerzy;
 Cała ta niezmiernona perspektywa okiem,
 Dni jasnych dni fortunnych upływa potokiem.
 Ach jak serce me pała wiekuisty Boże!
 Ta radość niezwyčajna, którą ledwo może
 Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,
 Które hojnym strumieniem biegną po mém łonie,

Znam dobrze, jak są małe, jak słabe podzięki
 Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z twój ręki.
 Płynicie hojnym potokiem, płynicie oczy moje,
 Wytaczajcie obfite łez rześzystych zdroje.
 Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
 Że mi wszystkie tak zeszyły, jak rozkoszne lato.
 Ile dni, tyle pociech; a lubo je która
 Nagłego smutku czasem zasępiała chmura,
 Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
 Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
 Po małej chwili nikną, a swemy przechody
 W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.
 Nigdy bystrego słońca bystremi pożogi
 Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi:
 Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził:
 Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził:
 Nigdy, srogami brzucha zmęczony przymory,
 Nie wlażył wilk krwawożerca do mojej obory,
 Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.
 Nigdy w mój chatce długo zły wróg niezabawił,
 Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,
 Była bogata chatka, pocziwa czeladka.
 A któż jeszcze wyrazić radość ową zdola,
 Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokola;

Kiedym jedne prowadząc za drobnouchne ręce,
 Uczyl bezpiecznie stawiać stopki niemowlęce;
 Drugie skacząc na łonie z uciesznym pośpiechem
 Bawily płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?
 Teraz gdy już pod twoją opieką urosły,
 Twórczo mój! i nieplonne owoce przyniosły;
 Ciesząc się z trosk podjętych i złożonej prace,
 Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakolące
 Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
 Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
 Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził
 Około chatki mojej we dwa rzędy sadił.
 Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiona
 Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
 Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną
 Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną,
 Tyś bieg radości trwałych, niestety przerwała,
 Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
 Pomnę, ach pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie
 Złożyłaś na pół martwą głowę na mem łonie,
 Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
 I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
 Już to dwónasta wiosna mija od téj daty,
 Jak twój grób łzami zlewał, i sypie nań kwiaty;

Lecz w krótkce dzień wesoly, dzień przyjdzie fortunny,
 Co me kości poloży obok twojój trumny;
 A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
 I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

A. Narusiewicz.



Deszcz, to wicher, to pogoda,
Już nastala jesień święta,
Rozplakana, uśmiechnięta,
Jak do ślubu panna młoda;
To posępna to wesola,
Jako dumki mego czola.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
Echo płynie uroczyście
Po nad pola, po nad drzewa,
Po nad krzewy żółto-liście,
Rzewna nota gra do kola,
Jako dumki mego czola.

I nastaly ciemne noce
Strach ogarnia tajemniczy,

W okna chatki wicher grzmoce,
A na dworze pies skowyczy,
Puchacz z mogil smutnie woła,
Jako dumki mego czola.

A jednakże lirnikowi
Dziś swobodniej niżli wiosną
Jego bracia żywi, zdrowi,
Jego piosnki grzmią rozgłośno
Lecą z końca w koniec siola,
Jako dumki mego czola.

W takt skowronka i słowika,
W cieniu leszczyń, wedle zrzódła
Śpiewał wiosnę, która znika,
Śpiewał miłość, co zawiodła;
Krew mu kipi ledwie zdola
Wysnuć dumki swego czola.

Dziś skąpany we łzach szczerze,
Ziemniej snuje swe piosenki,
Spokojniejsze taktty bierze,
Pod jesiennych wicherów jęki,

A nie zgadli ludzie zgola,
Zmiany w dumkach jego czola.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
Bicia serca bacznie słucha,
I przeraża go kamienny,
Martwy, spokój jego ducha.
„Wróćcie do mnie, wróćcie—woła
„Wrzące dumki mego czola!”

Zawiedziony od współ braci
Nie o siebie on boleje,
Lecz się lęka że utraci
Miłość, wiarę i nadzieję;
W nich miał stróża, w nich anioła
Pięknych dumek swego czola.

W. Syrokomla.



93423

/ 1-2

NIKTÓRE DZIELA NAKLADOWE KSIĘGARNI

K. Bernsteina.

GUTZKÓW.

WZÓR DO ŚWIĘTOSZKA.

Komedia w 3^{ciu} aktach z niemieckiego przełoż. St. Lisowski.

1 tom kop: 75.

R. MATYŁDA.

O PRZEZNACZENIU DZIEWICY JAKO KOCHANKI I NARZE-
CZONEJ.

oraz zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godno-
ści, które dziewczica w zakresie domowym, w obcowaniu
z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży za-
chować powinna. 1 tom kop: 75.

pod prassą:

WARSZAWA I WARSZAWIANIE

szkice obyczajowe przez

Antoniego Wieniarskiego

2 tomy.

